Nr. 18. Warszawa, dnia 20 Kwietnia (2 Maja) 1896 r. Rok XVI.

PRAWDA

FILOZOFIA · NAUKI SPOŁECZNE · NAUKI PRZYRODNICZE · HISTORYA · JĘZYKOZNAWSTWO · SZTUKA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“
(wraz z bezpłatnym [illegible])
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2. rocznie rs. 8, z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2 kop. 50, rocznie rs. 10.

Adres: Żórawia Nr. 34.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

Bourgeois w Izbie.

Ministeryum z pierwszych dni listopada r. z. już nie istnieje. Przetrwało wieszczony mu miesiąc, ale nie doczekało półrocza. Po uchwale potępienia, wydanej d. 21 b. m. przez senat, Bourgeois po to tylko nakłonił Brissona do zwołania Izby, aby miał komu powiedzieć, że się usuwa. Gdyby był chciał, a chcieć nie pozwoliły warunki, w których działać musiał, byłby wyszedł z Izby ministrem moralnie i politycznie potężniejszym, niż wtedy, kiedy pobudzał zwołanie jej na nadzwyczajne posiedzenie z d. 23 b. m. Przebieg tego posiedzenia przekonał, że w Izbie miał niewielką wprawdzie, ale wystarczającą do życia większość głosów. Dlaczego już żyć dłużej nie chciał? Bo nie mógł. Odmówił mu swego zaufania senat; ale odmówił jeszcze i ktoś inny.

Faure postanowił już się go pozbyć. Po próbie z umiarkowanym, ku oportunizmowi lgnącym Ribotem, robiąc próbę z Bourgeois, nie przewidział, że jego rządy, jego zwłaszcza programy, a nadewszystko duch republikański, jakiego nie było jeszcze w trzeciej rzeczypospolitej od czasów Gambetty, wywołają do walki zasadnicze przeciwieństwa przekonań i dążeń, z głębi politycznego jestestwa narodu, przy odpowiedniem tylko przyczynieniu się woli ludzkiej, własną wybuchające siłą; a do pokierowania taką walką, dla dobra Francyi, republikanizmu i demokracyi, jeżeli miał rozum i chęć, nie miał dostatecznej siły i odwagi. Wpłynęły niezawodnie na postanowienia prezydenta i względy polityki zagranicznej. Już po uchwale Izby w sprawie podatku dochodowego (26 marca) konieczna spójnia między naczelnikiem władzy wykonawczej a pierwszym ministrem ledwo się trzymała, senat zaś d. 21 z. m. zupełnie ją zerwał.

Pożegnanie p. Bourgeois z władzą i z Izbą według szczegółowych sprawozdań wielkich dzienników europejskich, inaczej zupełnie wygląda, niż w telegramach i opowieściach, które nas bezpośrednio w druku dochodzą. Spodziewano się na ten dzień w Paryżu wielkich scen i większych jeszcze hałasów: p. Lepine, prefekt policyi, rozwinął czujność w wielkim stylu i osobiście zajaśniał nawet w Izbie. Część wojska była skonsygnowana. Bourgeois wszedł z papierem jakimś w ręku— spokojny, nawet ożywiony. Papier był jego testamentem — na teraz. Spodziewano się odrazu głosu z piersi, nie papieru; ale Bourgeois musiał mieć dokument, jeśli nie dla siebie, to dla kolegów swoich. Po zawiadomieniu o uchwale senatu, odmawiającej kredytów madagaskarskich, podniosły się zaraz uporczywe krzyki: „Precz z senatem! Rewizya!“ Ledwie je uśmierzył Brisson, Izba usłyszała z ust Bourgeois wyznanie, że patryotyzm nakazał ministrom ustąpić, aby wojsko na Madagaskarze nie cierpiało braku.

Ministrowie, liczący się tak z nakazem patryotyzmu, nie zapominają, co winni są Izbie i Francyi republikańskiej -- mówił Bourgeois. — Ustępują dopiero po wyłożeniu patryotycznych pobudek swoich przed Izbą. Już Gambetta i Ferry wyznawali zasadę, że tylko Izbie służy prawo nadawania ogólnego kierunku polityce narodowej. Ona tylko może do życia powoływać i strącać ministerya. Tak mówią prawa, taki jest duch konstytucyi, tego domaga się i ta wielka demokracya, uznająca jedynie wszechwładztwo głosowania powszechnego. Konstytucyę interpretować wolno tylko kongresowi. Ministrowie ustępujący nie pogwałcili jej niczem, choć ich rządy niekonstytucyjnymi nazwano. Większość, sprzyjająca reformom, niechaj nie traci nadziei. „Ludzie odchodzą, odejść mogą — ludzie nie nie znaczą; idee, którym służyli, jeśli są rzetelne, zostają i tryumfują.“

Przypominając, co zrobił, Bourgeois zwięźle powiedział: „Usiłowaliśmy nadać demokracyi francuskiej naturalny jej kierunek, w stronnictwo republikańskie wlać ufność we własne siły i w ogóle obywateli rozbudzić zdrową namiętność dla istotnych walk politycznych. Pracowaliśmy, jak umieliśmy najlepiej, nad wykształceniem tej demokracyi, która w rzeczypospolitej widzi tylko narzędzie moralnego i społecznego postępu i chce z niej wydobyć środki do złagodzenia nierówności warunków życia (*existence*), do wzmocnienia solidarności między ludźmi. Ze spokojem oczekujemy wyroku głosowania powszechnego.“

W duchu tego oświadczenia Ricard ułożył porządek dzienny: 1) Zgromadzenie, wyszłe z głosowania powszechnego, winno mieć przewagę; 2) Izba postanawia przeprowadzić reformy demokratyczne. Monarchiści zażądali odroczenia rozpraw. Żądanie to odrzucono tylko 283 głosami przeciw 268, przyczem do większości wliczono i głosy ministrów nieobecnych. Pierwszą część rezolucyi przyjęto 309 gł. przeciw 38, drugą 417 przeciw 37; ale całość jej tylko 288 głosami.

Bourgeois, wierny mowie w Châlons, chowa się dla przyszłości. Radykalni sarkają na niego za niemoc; oportuniści i monarchiści go zwalili; Faure go opuścił: ale on ostatniego swego słowa jeszcze nie powiedział. Teraz dopiero republikanizm we Francyi zaczyna walczyć o byt.

Tydzień polityczny. Ks. Ferdynand d. 22 z. m. wyjechał do Paryża. Bawił tam jeszcze w chwili wysyłania ostatnich wiadomości. Przyjmowano jako panującego. P. Faure rozwinął przepych w Elizeum.

Spadek po Bourgeois ofiarowywał p. Faure Sarrienowi, lekko radykalnemu; ale tylko dla porządku, ponieważ uchwała z d. 23 z. m. radykalna była. Sarrien, poznawszy, iż się tylko skompromituje, upo-

ważnienie zwrócił. P. Faure powołał p. Meline, plutokratę rolnego, zaciętego wroga radykalizmu, trzymającego z większością senatu. Lutz ministrów miał ogłosić „7 of.“ z d. 30 kwietnia.

Po uchwale, a zwłaszcza nazajutrz, w Tivoli były manipulacye republikańskie; wołano nawet do „Elizeum!“ Policya rozpędziła tłumy, bez cięższych starć. Duch rewolucyjny wzmógł się w stolicy.

W Transwalu proces wytoczony komitetowi reformy, w Joannesburgu zakończył się skazaniem dwóch winowajców na śmierć, innych na grzywny, więzienie i wygnanie. Anglia swoich ani tracić, ani więzić, ani wyganiać nie pozwala. Przyszłość chmurna. Z Oranje Transwal ma przymierze. Oba państwa zbroją się. Orańczycy sypią forty. Nowy prezydent orański, Steyn, ma opinię dzielnego człowieka. Kruger już się pokazał. D. 5 b. m. zbiera się Volksraad.

W Wiedniu p. Badeni zmógł Luegera. Zagorzałec wezwany do cesarza zrzekł się burmistrzowstwa, które ma po raz trzeci rada miejska, z większością 96 na 136 antisemicką d. 18 z. m. powierzyła. Zostanie wice-burmistrzem, jak chciał już dawniej p. Badeni.

Reforma wyborcza w Izbie postępuje. D. 23 z. m. już ją przyjęto, choć nie ostatecznie, ale już nieodwołalnie, 175 gł. przeciw 61. Większość $^2/_3$-ch i w ostatecznem głosowaniu zapewniono. Nowych posłów w nowej kuryi (głosowania powszechnego) będzie 72. Chciano 100, 89, 75, 73 — wszystko to przepadało.

Stosunki Serbii z Austryą naprężone. Ks. Aleksander wrócił z Grecyi bez pierścionka, po który jeździł do Aten, aby się z księżniczką Zofią zaręczyć. Rząd dzisiejszy zachwiany. Nowa konstytuanta zapowiadana. Walki stronnictw po dawnemu zapalczywe.

Adigrat jeszcze odsieczy nie dostał.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

TWÓRCA KOLONIZACYI.

Śmierć barona Hirscha przeszła w prasie naszej prawie niespostrzeżenie. W rubryce ze świata podano o nim słów kilka, jako o finansiście, któremu szczęście posłużyło do zdobycia milionów i urządzenia sobie rajskiego żywota. Pisze się natomiast wstępne artykuły o ministrach jednodniowych, o wielkich warchołach, których smutna sława pęka szmermelowo i zostawia czad po sobie. Tymczasem zmarły baron Maurycy Hirsch nie był zwykłym kapitalistą — dusigroszem, sybarytą, nie wyglądającym po za potrzeby własne i najbliższego otoczenia. Był to niepospolity i prawdziwie wielki filantrop w szerokim pokroju, a zarazem szlachetny marzyciel, śniący o rzeczach ziszczalnych, a przynajmniej możliwych do ziszczenia na gruncie praktycznym. Bogacze mają swoje fantazye i dziwactwa, faworyzują i wyposażają dożywotnio służbę, są częstokroć szczodrzy w swoich zapisach, ale ich legaty rzadko kiedy przynoszą jaki taki pożytek społeczeństwu. Filantropi w innym stylu sięgają niekiedy trochę głębiej do życia, podtrzymują lub tworzą organizacye bądź co bądź pożyteczne, lecz oddane wyłącznie na usługi tych możnych z wielką dla nich korzyścią. Są to znieczulacze i usypiacze wszelkich niedomagań, za co im wszakże bywa wdzięczny pewien odłam społeczeństwa, bo przecież i chory, dotknięty rakiem, ściska przyjaźnie dłoń lekarza, gdy mu na jakiś czas bóle usunie.

Hirsch zasłynął jako działacz innego rodzaju i nawet w ciągu bieżącego stulecia jedyny na tem polu. Pokrewny mu był duchem i dążnościami jego poprzednik Montefiore, organizator kolonizacyi palestyńskiej. Hirsch atoli znacznie go prześcignął i ujął swoją działalność w formę bardziej określoną i celową. Kupić niemal kraj cały za oceanem, zorganizować wychodźtwo i kolonizacyę, urządzić komitety przesiedleńcze, scentralizowane w Petersburgu—jest to zaprawdę dzieło wielkie i niepospolite. Nie przesądzamy znaczenia i przyszłości osadnictwa argentyńskiego, ale już samo usiłowanie stworzenia rzesz ludności pracowitej około wielkiego i jednolitego warsztatu, jest dużo warte. Nikt chyba nie dał tyle co zmarły bogacz dowodów współczucia losom tułaczów rozproszonych po świecie. Wybornie on obliczył tę olbrzymią sumę sił moralnych, duchowych i fizycznych, ścieranych w walce losowej i zestawił ją z inną, również wielką i groźną: sumą cech, pracy i usiłowań nie przynoszących najmniejszego pożytku społeczeństwu, a wytwarzanych przez niepomyślne warunki życiowe. Hirsch szczerze pragnął ująć oddawna ujawniający się ruch emigracyjny w silne karby, nadać mu pewien ład i jaknajmniej marnować w tym zakresie środków i sił. Ale Argentyna, obok warsztatu pracy, powinnna się stać jednocześnie praktyczną szkołą fachową dla mas żydowskich.

Zrazu emigracya była bezładna i, jak zwykle, pełna zawodów i rozczarowań. Ciemne tłumy dążyły na oślep do Ameryki i Palestyny. Ruch przesiedleńczy, rozbudzony od lat piętnastu, ujawnił dwie charakterystyczne cechy: narodowościową i ekonomiczną. Pierwsze — to marzenie o odbudowaniu państwa i ludu Izraela na ziemi obiecanej, druga — to dążność ludności żydowskiej, głodnej, do zdobycia kawałka chleba. Gorączka emigracyjna doszła do najwyższego stopnia r. 1891—1892, jednym zaś z głównych bodźców wzmożenia tego ruchu było stworzenie w Moskwie komitetu pomocy dla wychodźców. Rozbudzono samopomoc, zaczęto zbierać składki dla wychodźców żydowskich z Rosyi, nawet w Niemczech, gdzie też powstały wkrótce komitety, rozporządzające milionami marek. Ale cały ten ruch emigracyjny przybrał cechy nieładu; tłumy dążyły na oślep, bez środków pieniężnych i żadnej świadomości. Tysiące pojechały na niechybne zmarnowanie swych sił i zagładę. Oto przykład: 25 rodzin z Białego Stoku i Poniewieża osiadło

---

Z POEZYJ PROZĄ.

przez

Włodzimierza Bugla.

1) Viola tricolor.

Hen przy drodze młode drzewa wdziewały na się nową, świetną szatę, tarnina stroiła się jak oblubienica idąca do ślubu w biały welon kwiecia, las sosnowy wielkimi pękami zrzucał stare, pociemniałe szpilki, biorąc świeżą, wonną zieleń. Młoda trawka niby aksamit zasłała przestrzeń, przy rowie potrząsała bieluchnymi dzwoneczkami konwalia, jaskier tu i ówdzie otwierały szerokie, złote oczy. Wróbelek często spuszczał się w zieleń, podskakiwał między źdźbłami trawy, potem zrywał się znowu, świegotał głośno i do innych kępek podlatywał, ażeby spytać, jak rosną. Żuczek mały pełzał pod liściem, stając co chwila zdziwiony, co tak szepce w koło, co gwarzy i weseli się. A w górze skowronek dzwonił i dzwonił, wyśpiewywał swą pieśń wiosenną, witał nowe powiewy wiatru, szary, drogi śpiewak wiosny, w sukmanie, jak ci, co ziemię orzą i potem swym i trudem ludy trzymają.

Lecz pług tu nie wcinał się w pierś karmicielki ziemi, woły rogate, siwe nie wdeptywały nóg swych w miękką, żyzną glebę. Śpiew oracza zdala tylko dolatywał ugora, tylko przy wietrze ukołysywała kwiaty do zadumy smętna pieśń dziewczyny rozkwitłej jak bladoróżowa jabłoń, której dola miała może tak prędko opaść, jak kwiat jabłoni. Był to obszar należący do lasu, zostawiony odłogiem i jedynie latem odwiedzany przez dzieci z poblizkiej wioski, szukające kwiatów lub grzybów.

Tu przy młodej brzozie, o srebrzonym pniu i długich warkoczach wyrosła kępka bratków, prostych, wiejskich. Ledwie nad ziemię ruszyły, jeden ku drugiemu przygarniony. Podłużne, karbowane listki co chwila dotykały się wzajemnie, jak młode stworzonka, którym straszne osamotnienie, które razem chcą igrać, pić życie i wesołość. Pączki ich nikłe bielały nieznacznie, rzadziuchno, wybłyskując, niby oczki nieśmiałych, wiejskich dzieciątek. Ale dobrze im było, dobrze. Słonko świeciło, rosa spadała perełkami, wietrzyk muskał je, niekiedy zięba przebiegła ze swawoli ziemią tuż pod liściem, a skowronek nieustannie ku nim spadał. I tak zdawało się im miło na świecie, tak jasno, słonecznie i przyjemnie, i listki wciąż szeptały: Ach, jak dobrze!

Lato nadciągnęło jak pyszna królowa, białego lica, niby lilia, połyskująca złotem promieni, złotem kłosów pszenicznych i wysmukłych kwiatów dziewanny. W jej włos czarny wplecione były wiśnie i wonne poziomki, rydwan zdobny winogradem i wieńcami owoców. Dumna i pyszna, piękna i dumna królowa.

Na drzewkach liście były już gęste i bogate, sosny rozsyłały woń żywiczną, malutkie niedziałki bladozielonych kwiatków oblepiały źdźbełka traw. Konwalie znikły, tarnina przekwitła, lecz za to żywokost niebieski i szafirowy okleił rów przy drodze, żywokost z liściem wybitem drobnemi, zielonemi igiełkami. Z pól zbłądziło na ugór kilka ostróżek, centurya różowa kołysała główkę w dwóch lub trzech miejscach, perz srebrzył się pod podmuchem wiatru, szczer chwiał amarantową kitą. A pszczółki tłumnie przelatywały nad przestrzenią, bo i tymianek kwitł na niej obficie, tymianek — śpichlerz miodu.

Lecz bratkom mniej dobrze było, jak przedtem. Ptaszki u góry jakoś zamilkły, wróbelki nie tak często świegotały, tylko rano przed wschodem słońca grała jeszcze skrzydlata kapela. Wietrzyk z lasu dolatywał rzadziej, tymczasem słońce paliło, niby wielki ogień, zgło niekiedy jak rozpalone żelazo i ziemia nawet w cieniu brzózki twardniała jak kość. Kilka krzaczków z małej kępki uschło, inne przestraszone, nigdy nie spodziewające się zgonu blizkich, drżały z obawy. Kilkakrotnie burza sroga zerwała się, pioruny biły, deszcz lał jak z wiadra i znów kilka słabszych roślinek legło... Ulewa pochyliła listki, zbłociła je, a potem wbiła w rozmokły grunt. I nikt już ich nie podnosił, umierały powoli, a biedne rodzeństwo ze smutkiem patrzyło na nie.

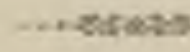
w kolonii Pesach-Tikwo, założonej jeszcze r. 1878 (w Palestynie). Ziemi tam było bardzo dużo — około 14,000 dunamów, czyli 1,200 dzies. Emigranci atoli nie zwrócili uwagi na to, że klimat tam zabójczy, że ciężka febra panuje bezustannie, że grunty otoczone są bagniskami, że wreszcie ziemia orna leży zbyt daleko od siedzib, rozłożonych nad brzegami rzeczki Negar-el-Odże. To też zamiast rolników powstały tam wkrótce szeregi żebraków, od których teraz wogóle roi się Palestyna.

Pomyślniejszy okres przedstawia wychodźtwo celowe, skierowane do Argentyny od chwili, gdy baron Hirsch zorganizował je swoimi funduszami. Ale i tutaj były omyłki, zrazu nawet bardzo dotkliwe. Zanim kolonie zakupione stały się szkołą, przynajmniej praktyczno-elementarną, zmarnowano dużo środków na czyny i zabiegi bezowocne. Zarodkiem osadnictwa była kolonia Moisesville, założona bez wszelkiego programu i systemu przez wychodźców gub. Podolskiej na gruntach właściciela Palaciosa w prowincyi Santa-Fé r. 1890. Przez ciężkie katusze i ognie wyzysku przeszli liczni emigranci, zanim się tam dostali i zagrzeli miejsca. Dola ich polepszyła się z chwilą, gdy baron Hirsch wykupił ową kolonię r. 1891. Był to początek właściwej kolonizacyi argentyńskiej. Pierwsza partya przesiedleńców, wysłana kosztem barona, przybyła na miejsce za wcześnie, gdy tam jeszcze prawie nic nie przygotowano dla nich. Musiano więc ich trzymać przeszło rok w hotelach i namiotach, tracić dużo pieniędzy dla utrzymania ludzi, skazanych na przymusową bezczynność. Przytem działalność administratorów nie zawsze była zadawalającą. Nie znając i nie rozumiejąc kolonistów, nie mogli oni zadość uczynić ich żądaniom i potrzebom; poprzestawali więc na wskazówkach przewodników-wyzyskiwaczów. Ani zarząd w Buenos-Ayres, ani administracya kolonij nie posiadały nietylko specyalistów w zakresie gospodarki rolnej, lecz wogóle ludzi, którychby jakakolwiek nić wiązała z tą dziedziną pracy. Z drugiej strony większość kolonistów składała się z ludzi niezdolnych do rolnictwa.

Dla naprawy kolonizacyi posłano komisyę z Rosyi r. 1892, ale i tutaj nie potrafiono uniknąć zasadniczych błędów: do tej komisyi nie powołano ani jednego rolnika. To też powstały składy niepotrzebnych pługów, bron, wozów, machin i wszelkich narzędzi, nieodpowiednich dla warunków i gleby argentyńskiej. Stąd musiały wyniknąć i kosztowne błędy w technice gospodarki. Inaczej być nie mogło, skoro podążyły tam rzesze ludności przeważnie miejskiej, trudniącej się handlem i wszelkiemi innemi przedsiębiorstwami, nie mającemi nic wspólnego z rolnictwem. Mieli ich uczyć administratorowie, nieumiejący odróżnić kłosów pszenicy od jęczmienia! Wprawdzie dano później każdej kolonii tak zwanych inspektorów, chłopów niemieckich, ale tych działalność kończyła się na pobieraniu wielkiej płacy. Tymczasem nauczenie kolonistów-żydów racyonalnej uprawy roli nie jest zadaniem łatwem. Trzeba tu nadzwyczajnej cierpliwości i wiedzy fachowej, a przedewszystkiem niezbędna jest stała organizacya, urządzenie fermy wzorowej i zachęta nie słowem, lecz czynem i przekonywającym przykładem. Gruntownie wykształcony i doświadczony, światły specyalista znalazłby się w wielkim kłopocie na obcej mu glebie argentyńskiej i dużo musiałby trudu poświęcić, zanim postawiłby gospodarkę rolną na wysokim szczeblu kultury; a czegóż można wymagać od ciemnych, niefachowych tłumów?

Napływ kolonistów, niezdolnych do gospodarki rolnej, utrudnił dzieło, postanowiono więc zrobić t. zw. *nettoyage*— usunięcie nieodpowiedniego żywiołu; ale i tutaj zabrano się do rzeczy nieoględnie. W niektórych koloniach „oczyszczania" dokonano zbyt pospiesznie, np. w Clara i San-Antonio poruczono to zadanie młokosom, którzy nie mogąc ocenić kwalifikacyi rolników — wygnali wielu na chybił trafił. Większą rzetelnością rządzono się w Mauricio i Moiseswille. Bądź co bądź, jednostki dzielniejsze i zdolniejsze potrafiły już się zaaklimatyzować ekonomicznie. Jest to więc żywioł, na którym można budować przyszłość. Niezdarni z czasem odpadną sami.

Jak widzieliśmy, omyłki były dotkliwe i kosztowne, wynikły zaś z pośpiechu. Wielki ofiarodawca nie mógł się oprzeć pokusie szybkiego uszczęśliwienia mas żydowskich. Kołatano usilnie do jego serca i trzosa. Rzucił więc miliony, którymi organizatorowie na razie nieoględnie szafowali. Dziś już gorączka pośpiesznego osadnictwa przeszła, a nadto przybyła znaczna suma doświadczenia. Hirsch dał kolonizacyi argentyńskiej podstawy i wyposażył ją na przyszłość. Stanie się więc ona z czasem ruchem celowym, to zaś, co jest nieświadomie w życiu tkwiącem zjawiskiem socyologicznem — udział w wychodźtwie i rozwoju osadnictwa żywiołu dzielnego i przedsiębiorczego — stanie się wprost wytworem rozumnie obmyślanej i dobrze kierowanej organizacyi. Takie wielkie dzieło okrywa chwałą imię Hirscha. Odczuwał on żywo nietylko nędzę materyalną mas ludności żydowskiej, lecz i związany z nią ciężar mroków umysłowych. Pragnąc je nieco rozproszyć, ofiarował w 1889 r. 10 milionów franków na szkoły rolniczo-rzemieślnicze dla Żydów galicyjskich.



Ale kiedy dzionek przychodził nieskwarny i chłodu było więcej, roślinki pozostałe podnosiły się na duchu, smutek mijał, listki jednych krzaczków pieszczotliwie tuliły się do drugich. Gwarzyły i całowały się. Jeszcze nowe listki dołączały się do dawnych, nowe kwiatki wychylały się z pączków. Otucha wstępowała. Pono niedola tylko przypadkiem opuściła na nie dłonie, im będzie dobrze, im jest dobrze, oto jakie niebo śliczne, słońce jasne, jak brzózka do nich szepce...

Jednak szło ku gorszemu. Upał znikł, ale jakaś dziwna wilgoć legła w powietrzu. Często rankiem mgły siadały nad polami i lasem, włóczyły się po rowach i gałęziach krzaków, dotykały strzępami czoła bratków. Niebo chmurzyło się, spadały długie warkocze deszczów i przez kilka dni na malutką chwilę słońce nie wyjrzało na dziatwę ziemi. Małym bratkom zimniej wówczas było niż innym w łodygi, listki kurczyły się, kwiatki szukały między nimi ukrycia. Raz gdy jeden kwiatuszek wejrzał w niebo, oczom nie wierzył. Chmara ptaszków, tak wielka, jakiej nigdy nie widział, szybowała pod żółtawem sklepieniem głośno świegocąc. To jaskółki zbierały się do odlotu. Gdzieś wysoko długi trójkąt krajał powietrze — żórawie. A więc ptaszki, kochane ich ptaszki uciekały od nich. Listki zaś brzozy coraz gęściej jęły sypać się na nie wyżółkłe, bezsilne, jak rój motyli umierających.

Ile razy tęskniły wówczas bratki do dni dawnych, do wiosny, nigdy nie znały nic prócz przyjemności i rozkoszy, kiedy sny je kołysały i nieznane było cierpienie lub zawód. Do lata nawet cieplejszego przecież i weselszego. Ale smutku i cierpienia nikt nie koił, listeczków nikt nie chciał głaskać. Wróbelek chyba zrzadka zziębnięty, zmokły otarł się o nie skrzydełkami. I ten po wiośnie tęsknił. Powoli tak żyły się ze smutkiem, że często nawet łza im nie spłynęła z oczu, gdy jeden lub dwaj towarzysze legli od słoty. Swej kolei czekały...

Po długim deszczu słońce wypłynęło na niebo, jak wielka, szeroka łódź złota. Wiatr wygładził firmament i w lazur ustroił. Błoto lśniło na dworze, lecz coś wabiło w pole, ciągnęło w przestrzeń. Gdy przeschło nieco, ubrałem się i ruszyłem ku sośninie.

Smutek i wesele mieszały się w mej duszy, smutek, iż jesień nawet kończyła się, wesele, że nieco przecież z lata pozostało. Zerwałem w drodze dwa lub trzy groszki, ujrzałem trzmiela szukającego miodu. Przy samym lasku skierowałem się ku bratkom.

W ciepłe jednego dnia, w siatce ukośnych promieni jesiennych, wsłuchane w grę zabłąkanej pszczółki, bratki zieleniały wesoło, trzepotały się na wietrze, chyliły i podnosiły główki, igrając filuternie. Kilka łodyżek leżało wprawdzie na ziemi, lecz pozostałych listki były rzęsne, jak przedtem, może rzęśniejsze i każdy wianeczek, zdobny w dwa lub trzy kwiatki. Bratki znowu snać po bólach, w chwili wytchnienia, przystroiły się nowem liściem i kwieciem. Bladem, ledwie żółciutkiem i niebieskiem, lecz w braku innego tak miłem i wdzięcznem, świeżo umytem i niby uśmiechniętem w rozgrzewającem się powietrzu. Zapominały drogie o burzy, o dawnych cierpieniach, wychylały się z listków i pączków, śpiewały chwałę doli, dobre, boże kwiaty.

I widok ich był dla mnie podwójnie miłym. Widziałem bowiem przed sobą już nie kwiecie, ale symbol. Symbol wieczny. Bo jak te wątłe i nikłe roślinki, tak serce człowieka. Gdy wiosna je pieści, marzy o nieprzerwanem szczęściu i zadowoleniu, o dniach promiennych i wieczorach słodkich. A potem skwary przychodzą, upał bólów i cierpień, wysychają włókna snów, przesiąka dusza wilgocią łez. Bracia ludzie wbijają w nie ciernie, gęściej niż siatka pajęcza oplatają je zawody. I jak ptaszęta znużone ulatują błogie myśli w niedoścignione, dalekie strefy dawne...

A przecież kiedy słońce wybłyśnie z chmur szarych, kiedy niebo na chwilę zabłękitni się i lekki wietrzyk dobroci współczucia, serdeczności owieje zbolałą duszę, jak drobny ów kwiatuszek zapomina ono o listkach, co mu wczoraj zmarły, o nawalnicy, co je wczoraj zszargała, o bólach dawnych i znowu pączki wypuszcza, znowu w kwiat nowy się przystraja, ludzi kocha i świat ów płochy. Znowu słońce wielbi i strefy jasne i ziemię matkę, mała roślinka o liściu ząbkowanem i koronie trójbarwnej, *Viola tricolor*... (D. n.).

PAMIĘTNIK.

Jak zwykle.

W pewnych wypadkach niepodobna nam odmówić metody. Tak np. zwykle na wszelkie wybory nie przybywamy w należytej liczbie, a gdy na nich zapadnie jakaś uchwała, protestujemy i domagamy się nowych — wbrew ustawie, logice i zwyczajom przyjętym w całym świecie. Od paru tygodni Towarzystwo muzyczne jest kotłem, w którym wrą swary. Wybory do komitetu tej instytucyi odbyły się według powyższej metody: na zebranie przybyło niewielu członków, a gdy ci mianowali zarząd, ukazał się w pismach protest i żądanie powtórzenia elekcyi — wbrew statutowi. Wkrótce strumień niesnasek skrył się pod widownię publiczną, gdzie popłynął dalej z większym szumem i pędem. Nie lubimy narzucać się zapaśnikom na rozjemców, zwłaszcza gdy z daleka obserwujemy przedmiot ich walki; ale jak zawsze, tak i tym razem, dajemy ogólną przestrogę: przestańcie pole pracy czynić areną boksowań osobistych i mnożyć dowody naszego przysłowiowego warcholstwa. Kto chce się ustrzedz tego błędu, powinien pamiętać w każdej sprawie o tem, ażeby rzeczy i osoby małe uważać za małe, a wielkie — za wielkie. Ile razy spuścimy z uwagi tę regułę, zawsze wyprzędziemy mizerne pretensye, gorszące starcia i cały ten brzydki harmider, który garniruje nasze stowarzyszenia. Wiemy, że filister fuka na filozofię i widzi w niej tylko dym, który szczypie w oczy ludzi rozsądnych; ale doprawdy przydałaby się ona nam nieraz do zażegnania wielu śmiesznych i niedorzecznych bojów.

Krwawe zajście.

Ile razy obrachowywaliśmy zbyt skrupulatnie i surowo życie nieboszczyków nad świeżą ich mogiłą, czyniono nam zarzut nieposzanowania majestatu śmierci. Cóżby z tego stanowiska należało powiedzieć o pastwieniu się niektórych gazet nad ofiarą krwawego zajścia między redaktorem *Muchy* a współpracownikiem pism warszawskich, Grajnertem! Jak wiadomo czytelnikom skądinąd, ostatni, dotknięty złośliwym wierszykiem, wyszydzającym jego powieść, napadł na p. Buchnera, który broniąc się na schodach swego mieszkania, użył rewolweru i śmiertelnie zranił przeciwnika. Jakkolwiek sama napaść zasługiwałaby na potępienie, a jej sprawca na ostrą naganę, opłacenie winy życiem powinnoby co najmniej powstrzymać ręce podniesione do chłosty publicznej. Tymczasem na mocy bardzo niezręcznego opisu jednostronnym sądem wymierzono tę chłostę trupowi. Była to zarazem i niedźwiedzia przysługa względem przyjaciela i okrucieństwo względem nieszczęsnej ofiary gwałtownego temperamentu i fatalnego przypadku. Czy było to potrzebnem i ludzkiem? Nam się zdaje, że w tego rodzaju sprawach prasa powinna zatrzymać się na granicy objektywnego przedstawienia rzeczy, czekając ze swoim wyrokiem do chwili, kiedy śledztwo sądowe zbierze całkowity materyał dowodowy. Uprzedzania tej chwili z jakichkolwiek pobudek może nieraz wyrządzić ciężką krzywdę, a niechybnie źle świadczy o zmyśle moralnym dziennikarstwa. Kto nazajutrz po krwawej rozprawie mógł z prawem sumieniem ściśle oznaczyć stopnie winy obu jej stron? Nikt. A jeżeli nikt tego uczynić nie mógł, to dlaczegoż tylu wyrokowało? Dziwna lekkomyślność!

Koty i sadło.

Na kolei Warszawsko-Wiedeńskiej często odbywają się magiczne sztuki z gratyfikacyami. Pewnego dnia powstaje jakiś dla nich fundusz, który prasa zawiesza w górze niby kawał sadła dla chudych kotów, mających otrzymać ten przysmak. Powoli sadło zaczyna topnieć, a daremnie oblizujące się koty ze smutkiem widzą, jak ono znika przy gorącym piecu gospodarzów. Z powodu upływającego pięćdziesięciolecia kolei postanowiono również obdzielić jej urzędników gratyfikacyami. „Według powziętego początkowo planu — objaśnia *Kuryer warszawski* — z wynagrodzenia rzeczonego korzystać miała cała służba w stosunku jednego procentu do pensyi i lat przebytych, następnie ci wszyscy, którzy w obowiązkach służby kolejowej przebyli lat dziesięć. Stopniowo wszakże projekt napotykał różne redukcye i w ostatecznej swej formie objął tylko tę kategoryę pracowników, która przesłużyła na kolei lat 25. Wysokość wynagrodzenia dla tej kategoryi wynosi ¼ pobieranej płacy rocznej.“ Krótko mówiąc: sadło było, ale stopniało i pozostał już z niego tylko mały skwarek, który może jeszcze nie dostanie się wybrańcom. A pamiętać trzeba, że tak robi najbogatsza u nas kolej, która swym akcyonaryuszom daje sowite zyski, a publiczności odmawia najelementarniejszych wygód. Gdyby tak postąpił jakiś lichwiarz, bankier, fabrykant, zwłaszcza z obcem nazwiskiem! Gdyby taki skąpiec, obchodząc uroczystość pięćdziesięciolecia swojego domu lub zakładu, przyznał gratyfikacyę tylko tym, którzy przesłużyli u niego 25 lat! Dopiero byśmy ogryzali tego skąpca! Tymczasem kolei Wiedeńskiej przestano już nawet robić wyrzuty, że w upakowywaniu pasażerów chce gwałcić prawo fizyki, według której dwa ciała nie mogą znajdować się współcześnie na jednem miejscu. *A propos.* Czy w ostatnich czasach nie rozesłano troszkę więcej biletów wolnej jazdy?

Świadectwo niedojrzałości.

Ciągle słyszymy, że Towarzystwo pracowników handlowych, chociaż powoli, lecz stale rozwija się i ogarnia coraz szerszy zakres potrzeb stowarzyszonych, że umie ono wyprowadzać na porządek dzienny nader ważne sprawy, jak np. uregulowanie stosunków prawnych pomiędzy pracownikami i pracobiorcami, uprzystępnienie członkom pomocy lekarskiej, potrzeba organu własnego itd. Ale przytem zrozumieniu i żywem odczuciu, przynajmniej w teoryi, ważnych potrzeb, tembardziej zaznaczają się jaskrawo fakty, nie zawsze świadczące o dojrzałości pewnej liczby uczestników. Fakty te właśnie ujawniły się w ubiegłym tygodniu na ogólnem zgromadzeniu.

„Wielu — pisze do nas jeden z członków Towarzystwa — po zapadłej uchwale zapytuje o co szło, inni na kartkach wyborczych wykreślają nazwiska, których brzmienie im się nie podoba; bywają tacy, co biją oklaski obu przeczącym sobie mówcom.“ Zgromadzenie pod względem nieporządków, odbiegania od tematu, niewłaściwości wystąpień, a nawet karygodnie nieprzyzwoitego zachowywania się niektórych uczestników doszło do niesłychanego rozprzężenia. Jako przykład, weźmy tylko jedną uchwałę, która, — jak mówi powyższy autor listu — „najgorręcej rozpaliła umysły i namiętności, dając pole do popisu nizkiemu egoizmowi i zardzewiałym przekonaniom.“ Oto przeciw założonemu w roku przeszłym komitetowi damskiemu wystąpił członek, p. Stefan Krall, z wnioskiem zwinięcia organizacyi. Projekt swój poparł takimi motywami, jak potrzeba równouprawnienia, a co za tem idzie — żądania jednakich przywilejów dla członka i członków. W komitecie, który pozwalał kobietom brać udział w obradach zarządu przez swego przewodniczącego, mówca widział pewne faworyzowanie kobiet, proponował więc dopuszczenie ich do komisyj ogólnych po jednej przedstawicielce z głosem doradczym, o ile komisye owe uważać to będą za potrzebne. Wniosek ten poparł p. Edward Grosser, dodając, że zarzuty, których głośno wypowiedzieć nie można, zmuszają go do tego kroku. W obronie komitetu stanął radca prawny i członek honorowy Towarzystwa, p. Henryk Krajewski, który zaznaczył, że komitet nie przyniósł żadnych strat instytucyi, przeciwnie — uczestniczkom oddał wielkie usługi, ułatwił porozumiewanie się w kwestyach wspólnych wszystkim pracownicom. Ponieważ ustawa odmawia kobietom głosu w zgromadzeniu ogólnem, należy to im wynagrodzić dopuszczeniem do wyrokowania w kwestyach własnych. Dla zjednania słuchaczów mówca odwoływał się do poczuć humanitarnych, do nowych przekonań w kwestyi kobiecej, wynikłych z warunków ekonomicznych. „Jeżeli im mamy co do zarzucenia, to przeciwdziałajmy złemu, lecz nie stawiajmy przeszkód na drodze do polepszenia ich bytu. Zahuczały oklaski i okrzyki. Zdawało się, że zgromadzeni jak jeden mąż zgadzają się w zupełności z zapatrywaniami p. Krajewskiego. Protestującym odbierano głos w połowie mowy, a p. Grosser, jedyny człowiek, który umiał się znaleźć po obywatelsku, spostrzegłszy błąd swój, cofnął poparcie wniosku p. Kralla. Zanim wszakże przyszło do głosowania, zanim się uspokojono, szlachetniejsze porywy, wywołane gorącą przemową p. Krajewskiego, powoli zaczęły stygnąć, a dowcipy, śmieszki i nawet nieprzyzwoite uwagi i spory uboczne, doprowadziły do normalnego stanu umysły obradujących. W końcu ogólne zgromadzenie znaczną większością głosów uchwaliło znieść komitet damski, bez żadnych słusznych i jasno wyłożonych powodów. Pozwolono wprawdzie przewodniczącemu komitetu, p. Piotrowskiemu, odczytać referat jednej z uczestniczek, lecz treść jego nie odpowiadała wymaganiom dyskusyi, wobec nieprzygotowania autorki na rodzaj zarzutów; odwoływanie się wreszcie do uczuć humanitarnych przyjęto naigrawaniem. Fakty owe, podane przez członków Towarzystwa, chyba nie zjednają sympatyi ogółu rozumnego dla tych stowarzyszonych. Dowiedli oni, że umieją stanąć niżej od ciemnych panów majstrów, którzy nie rozumiejąc ani ustawy cechowej, ani doniosłości zjednoczenia sił niewieścich, piorunowali zrazu na projekt dopuszczenia kobiet do cechów. Pracownicy handlowi chcą ze swego stowarzyszenia stworzyć gromadkę pilnie strzegącą osobistych interesów, nacechowanych mizernem sobkowstwem. Wobec opinii publicznej wystawili oni sobie świadectwo niedojrzałości.

Reklama

Oddawna wiadomo, że ta wszechwładna pani interesu nie przebiera w środkach i miejscach, że pokryła mury, ściany instytucyj publicznych szaletów i tramwajów, że się wciska do szczelin drzwi domów prywatnych i jeżeli jeszcze się nie dostała na trumny i karawany, to tylko ze względów etycznych. Dawniej tymi względami kierowała i prasa, szczególnie t. zw. młodą. Umieszczenie w tekście pisma reklamy, uzupełniającej ogłoszenie na ostatniej stronicy, uważało się za czyn karygodny. Dziś tego rodzaju etyka, szczególnie w pewnym odłamie pism codziennych, wzięła w łeb, ustąpiła wobec względów finansowych wydawnictwa. Agenci od ogłoszeń na żądanie przedsiębiorstw reprezentowanych stawiają sobie za warunek nieodłączny umieszczenie inseratów zyskownych tylko w takim razie, jeżeli pismo w jakikolwiek sposób postara się daną firmę wymienić, tj. zareklamować w tekście. Zrazu próbowano zadośćuczy-

nie temu delikatnie, nieznacznie np. w drobnych doniesieniach: że przed szybą wystawową znanego jubilera wszczęła się bójka awanturników, że nieostrożny woźnica, którego nie zdołano zatrzymać, omało nie wjechał do sklepu kupca X. Nieraz znowu reporter, zobowiązany dobrem i tanieın jadłem, a czasem i kredytem, zawiadamiał czytelników, że w restauracyi N. pies połyka dziesiątki miedziane i wcale mu to nie szkodzi, że w restauracyi Y. u powieściopisarza Z. przy kolacyi nagle zrodziła się myśl nowej powieści itd. Powoli te osłonki przyzwoitości i skrupułów względem czytelników ustąpiły i dziś już wyraźnie się pisze, że u znanego jubilera na ulicy X. można obejrzeć naszyjnik, oceniony na 40,000 rs. i zamówiony przez zamożnego arystokratę dla swej narzeczonej; że krawiec Igielnicki przeniósł się z ulicy Czystej na Mazowiecką itd. Taką bezczelną reklamę w tekście dziś prawie codziennie spotykamy i doprawdy nie wiadomo czemu się bardziej dziwić trzeba: czy cierpliwości czytelników, czy miedzianej przyłbicy przedsiębiorców wydawniczych i ich wyrobników dziennikarskich.

Obroty handlowe.

Według wykazów izby skarbowej, zebranych do podatku „repartycyjnego,“ obroty handlowe w Warszawie r. 1895 były następujące: w operacyach bankierskich 650 milionów rubli z czystym zyskiem 32 mil., w pośrednictwie handlowem 40½ mil. z zyskiem 16 mil., w handlu 15 mil. z zyskiem 8 mil., w przemyśle 22 mil. z zyskiem 2 mil. rs. Cyfry te są tak wymowne, że same przez się kreślą obraz ruchu przemysłowo-handlowego w naszem mieście. Obroty bankierskie zajmują pierwsze miejsce pod względem swych rozmiarów i ostatnie w zyskach, wynoszących niespełna 5%, co świadczy o pewnej tchórzliwości kapitalistów, którzy nie chcą „angażować“ swych funduszów do żadnych przedsiębiorstw.

Przemysł warszawski przedstawia się dość skromnie pod względem obrotów z zyskiem umiarkowanym (przeszło 9%). Natomiast handel, jakkolwiek pod względem obrotów podrzędniejszy, niż przemysł, zajmuje miejsce, cieszy się atoli olbrzymim zyskiem czystym, wynoszącym przeszło 53%. Pośrednictwo handlowe po obrotach bankierskich puszcza największe kapitały w obieg i cieszy się również olbrzymimi zyskami, zajmującymi drugie miejsce w powyższych czterech kategoryach; mianowicie dochód czysty tego rodzaju przedsięwzięć wynosi przeszło 40%. Ponieważ pośrednictwo takie jest niemal zawsze organizacyą, wymierzoną przeciwko interesom spożywców, więc cały ten haracz, tj. 16 milionów rocznie, ponoszą oni z własnej kieszeni. Gdy do tego dodamy część nadmiernego zysku handlu, który przy względnie sumiennem traktowaniu, tj. przy lepszem wynagrodzeniu pracowników i umiarkowanym rabunku konsumentów, nie powinien przekraczać 25%, otrzymamy tedy przerażającą sumę haraczu, płaconą przez ogół spożywców, tj. przeszło 20 milionów rubli rocznie.

KONGRES KOBIECY.

Paryż, 14 kwietnia.

(Dokończenie).

Chcąc doprowadzić do większej wolności w małżeństwach, uczynić kontrakt o tyle rozciągliwym, aby mogły się w nim pomieścić najrozmaitsze rodzaje współżycia dwóch płci, kongres wyraził życzenie, aby wszelkie dobrowolne umowy, zawarte między narzeczonymi i wciągnięte do księgi w chwili zawierania ślubu, miały dla nich siłę prawa.

Pogrzebano doszczętnie nierozerwalność małżeństwa. Wiadomo, że we Francyi, od niedawna zresztą, rozwód jest znacznie ułatwiony i już sprowadził znaczne, że się tak wyrażę, uruchomienie małżeństwa: ludzie się rozwodzą, żenią z innemi, czasem powracają znowu do siebie. Jednakże do otrzymania rozwodu potrzeba koniecznie udowodnienia jakichś poważnych krzywd, ponoszonych przez jedną stronę: pobicia, hańby itp.; krzywda moralna: zapanowanie wzajemnej niechęci, zanik miłości, nie jest uwzględniona. Zjazd żąda, aby wspólna zgoda małżonków, bez żadnych innych powodów, wystarczała do rozwodu. Dotychczas miłość po za małżeństwom nie przestaje być zbrodnią. Zażądano zniesienia tego zakazu. Zjazd szedł więc wyraźnie w kierunku przeciw-monogamicznym; jednakże większość stała jeszcze na gruncie małżeństwa prawnego.

Ze spraw wychowawczych jedna szczególnie była przedmiotem ożywionych rozpraw: kwestya wspólnego wychowania dziewcząt i chłopców w szkołach elementarnych, średnich i wyższych. Wiadomo, że system ten z powodzeniem istnieje w Ameryce i zaczyna być stosowany w Finlandyi. We Francyi próbę podobną uczynił w Compuis zasłużony pedagog, Paweł Robin; szkoła jego dla dzieci w wieku lat 5—16, istnieje od lat 15. W roku zeszłym konserwatyści, korzystając z rządów gabinetu Dupuy'a, rozpoczęli przeciw niej kampanię oszczerstw, na skutek której minister oświaty, Leygues, dał Robinowi dymisyę; szkoła jednak przetrwała i istnieje nadal pod kierownictwem wyrobionych przez niego profesorów. Feministki uważają, że rozdział dwóch płci w wychowaniu jest pozostałością ascetyzmu religijnego, jedną z głównych przyczyn nierówności społecznej kobiet i mężczyzn i wielu klęsk psychologicznych. To też mimo protestów prawicy, uznały „koedukacyę,“ połączoną z zasadami świeckości, bezpłatności, wszechstronności i obowiązkowości, za pożądany system wychowania.

Kwestya zmiany obywatelstwa żony pozostaje w związku z zacieraniem się granic narodowościowych. Zjazd rozstrzygnął ją na korzyść ułatwienia i przyspieszenia obu tych procesów: żądał uzależnienia zmiany państwowego poddaństwa kobiety, wychodzącej za obcokrajowca, od jej woli, lecz zarazem ułatwienia tej zmiany zarówno żonie, chcącej przyjąć obywatelstwo męża, jak naodwrót. Dzieci małżeństw mieszanych miałyby prawo wyboru obywatelstwa po dojściu do pełnoletności; przed tą chwilą żadne z państw nie mogłoby żądać od nich służby wojskowej.

Sprawa pokoju międzynarodowego ma oddawna w kobietach wszystkich klas stanowcze zwolenniczki. W Anglii, Francyi, Włoszech, Austryi, Niemczech istnieją liczne grupy czysto kobiece lub mieszane, które za panią von Suttner wołają: „Precz z orężem!“ Życzenia w tej mierze przeszły jednogłośnie, zarówno jak żądanie przyznania kobietom prawa wyboru do ciał prawodawczych, gminnych, zawodowych itd.

Dr. Käthe Schirmacher, delegatka niemiecka, przedstawiając na zjeździe stan ruchu kobiecego w Niemczech, podzieliła emancypantki czy feministki niemieckie na trzy kategorye: konserwatywną (filantropia arystokratek i bogatych mieszczanek); liberalną, zawierającą kilka odcieni, złożoną w znacznej części z nauczycielek, domagającą się równouprawnienia zawodowego i politycznego; wreszcie społeczną, do której liberalna coraz bardziej się zbliża. Czytelnicy *Prawdy* z r. 1892 przypomną sobie może, że pisząc o ówczesnym kongresie paryskim, podzieliłem reprezentowane na nim żywioły kobiece na cztery kategorye: burżuazyjnych emancypantek (równouprawnienie zawodowe); sentymentalnych filantropek zachowawczych lub oportunistycznych; filantropek, zajmujących się przeważnie prywatnem leczeniem objawów rozkładu rodziny robotniczej w kierunku instynktownie odczuwanym dalszego jej rozwoju; wreszcie społecznie uświadomionych. Kategorye te, odpowiadające prawie klasyfikacyi panny Schirmacher, odnajdujemy na kongresie tegorocznym. Jednakże ogólny bieg wypadków we Francyi w przeciągu lat czterech przeszłych oddziałał na wzajemny stosunek tych kategoryj. Czwarta wzmocniła się znacznie jeśli nie liczebnie, to pod względem wpływu. Druga usunęła się prawie zupełnie (chyba zaliczyć do niej można jedną panią de Broen z Paryża, przejętą duchem Juliusza Simona). W trzeciej zaszła poważna zmiana: zamiast leczenia prywatnego, któremu pozostaje wierna pani Ludwika Koppe, lecz w którego skuteczność ludzie coraz mniej wierzą, przenika coraz bardziej do umysłów przekonanie o potrzebie interwencyi publicznej, społecznej; przytoczone wyżej uchwały o matkach, o wychowaniu dzieci itd., świadczą o tem wymownie. Antagonizm zaczyna się dość wyraźnie zarysowywać między kategoryami pierwszą i czwartą; ale i na pierwszej, dzięki temu, że mamy tu do czynienia z kobietami, a więc z istotami, rzadko biorącemi bezpośredni udział w ekonomicznej walce interesów i przez to zdolniejszemi do propagandy idejowej, duch ogólny zaczyna się coraz bardziej odbijać. Cały tedy środek ciężkości widocznie przesunął się na lewo.

Co więcej, w tym roku do kongresu przystąpił po raz pierwszy żywioł zupełnie nowy: towarzystwo feministek-chrześcianek, niedawno powstałe. Stawia ono te same żądania, co ogół feministek, jakkolwiek nie wszystkie. Domaga się dopuszczenia kobiety do zawodów, „stosownych dla jej zdolności fizycznych i moralnych,“ oraz podniesienia praw kobiety w rodzinie. W manifeście, napisanym z rzadką u Francuzów wyrazistością i zrozumieniem ewolucyi społecznej, bez zwykłych frazesów sekretarka towarzystwa, pani Marya Maugeret, pisze, że bez względu na to, czy bieg wypadków (rozkład rodziny) był przyjemnym i estetycznym, czy nie, trzeba się do niego przystosować i dać kobiecie samodzielność właśnie w celu ratowania zagrożonej formy rodziny, świętej zasady nierozerwalności małżeństwa.

Powiedzieliśmy na wstępie, że uważamy za pożądane w ruchu kobiecym, jak i wszędzie, oddzielanie się żywiołów sprzecznych i przyłączanie różnych osobowych spraw społecznych do jednej, ogólnej. Na zasadzie powyższych faktów musimy jednak wskazać drugą stronę tej sprawy. Istnienie pojedynczych kwestyj, jak kobieca, lub pokoju międzynarodowego, oraz grupowanie się wkoło nich żywiołów niejednolitych, ma ten skutek, że przyspiesza i potęguje zjawisko, ważne bez wątpienia dla przyszłości, a zwane przez Anglików *permeation*: przenikanie prądu do sfer obcych mu społecznie i mogących łączyć się z nim jedynie drogami pośredniemi.

Tegoroczny kongres kobiecy w Paryżu wykazał niewątpliwe postępy tego przenikania.

Kazimierz Krauz.



BADANIA NAUKOWE.

HYGIENA SPOŁECZNA

WOBEC DĄŻNOŚCI HUMANITARNYCH.

II.

Miarą wyższości pewnej rasy nad innemi będzie możność rozszerzania się wśród nowych warunków. Pod tym względem najwyżej stoją Aryowie. Warunkami, które wyższość tę zapewniają, będzie korzystna dziedziczność, spowodowane przez nią zmiany, zależne również od wpływów zewnętrznych, wreszcie walka o byt w najszerszem słowa tego znaczeniu. Wśród niej rozróżnić można wpływy zewnętrzne i społeczne. Podczas kiedy pierwsze wobec postępu kultury coraz mniej mają mocy, następuje bowiem ciągłe uzdrowotnianie warunków życiowych, ostatnie bodaj czy nie zgubniej na dobór naturalny wpływają dziś, niżeli niegdyś, przed wiekami. A więc przedewszystkiem wojny. W wojnach ginęły wprawdzie i w czasach dawniejszych jednostki dzielne, ale, jak wskazuje statystyka, szczerby uczynione przez wojnę wypełniły się w krótkim czasie dzięki znacznej przewyżce następnych urodzeń. Przytem w wiekach dawniejszych wojska najemne składały się z awanturników i wyrzutków wszelkiego rodzaju, których dziesiątkowanie nie stanowiło dla społeczeństwa dotkliwego ubytku. Tymczasem wojska dzisiejsze składają się istotnie z najsilniejszej fizycznie części ludności, z jednostek młodych, produkcyjnych gospodarczo, które mogłyby mieć następców; ubytek 20,000, poniesiony w bitwie, znaczy przeto istotną stratę najwięcej dodatnich dla życia rasy jednostek. Przytem w bitwach współczesnych ginie większy procent oficerów i generałów, aniżeli żołnierzy, a więc znów społeczeństwo traci tych, którzy najdodatniej wpływać mogli na jego rozwój, przypuścić bowiem należy, że odznaczenie wojskowe wywołane było istotną wyższością osobistą.

Drugim ważnym czynnikiem w kształtowaniu stosunków ludności jest zapobieganie zapłodnieniu. We Francyi i w Ameryce północnej, a jak się zdaje i w Niemczech południowych, gdzie rozpowszechniony jest zwyczaj dwojga dzieci w rodzinie, zdobyło już ono prawo obywatelstwa i może być wogóle bardzo użytecznym regulatorem przy pomnażaniu się ludności. Względami, które tu decydują, są czynniki gospodarcze, a więc chęć przekazania każdemu dziecku większego majątku lub obdarzenia go lepszem wychowaniem, a także i niechęć kobiet do poddawania się obowiązkom macierzyńskim. Wszędzie, gdzie kobieta zdobyła więcej uprzywilejowane stanowisko wśród społeczeństwa, stara się ona unikać zbyt licznego potomstwa. Oprócz ogólnych względów gospodarczych i obawy przeludnienia, której słuszności rozbierać tu nie będę, dla hygieny rasy ostrożność ta ma tę korzyść, że późniejsze potomstwo, zacząwszy od 4-go dziecka, jest zawsze słabsze, a jak statystyka śmiertelności wykazuje, mniej zdolne do życia.

Doskonalenie się rasy ludzkiej nie jest bynajmniej utopią, przeciwnie — zaprzeczenie mu byłoby raczej zupełnem zaprzeczeniem teoryi rozwoju, ewolucyi, dokonywającej się w całej naturze. Dobór naturalny przecież nie wystarcza tu, choćby dlatego, że cywilizacya nasza stawia mu tysiączne i nieprzezwyciężone przeszkody. W dzisiejszej walce o byt giną nie upośledzone i słabe, ale przeciwnie najlepsze często jednostki, gdyż 1) oddziaływanie ubóstwa i związanych z niem ujemnych warunków życiowych, jak złe warunki zdrowotne, brak oświaty, wpływa deprawująco nie na jednostki najgorsze, lub najsłabsze, lecz na wielką masę, wśród której różne jednostki znaleźć można. 2) klasy zamożniejsze i więcej oświecone rozmnażają się dziś mniej silnie od ubogich, w których nie jest rozwinięta przezorność i nie rozpowszechniona znajomość warunków hygienicznych. 3) Wydawanie na świat następców i przekazywanie im pewnych cech dziedzicznych pozostawione jest przypadkowi, jakkolwiek dużą tu powinienby odgrywać rolę moment poczęcia, zarówno pod względem czysto fizycznym, jak i dla wyboru takiego okresu życia rodziców, w którym najkorzystniej wychowaniem następców zająć się mogą.

Można przeto dobro rasy uczynić miernikiem całej moralności naszej, u pomimo to, na dziś, przedewszystkiem sprzyjać tendencyom do usunięcia nędzy, podniesienia poziomu umysłowego warstw współczesnych niższych, a więc do wytworzenia warunków, w których dobór naturalny dokonywaćby się mógł bez wszelkich przeszkód. Że dobór sztuczny nie może iść wbrew zasadom naturalnego, ale przeciwnie korzystać musi z praw jakie pierwszym rządzą i dopomagać mu, nie potrzeba na to chyba dowodów. Kierować nim muszą trzy zasady: wybór komórek, które z pośród wszystkich istniejących w organizmie dać powinny początek nowemu organizmowi; wybór jednostek, które wśród żyjących w pewnym okresie mają prawo, a niejako i obowiązek dawać życie nowym istotom, a wreszcie dobór grup społecznych, a więc ras i narodów, które nad innemi i kosztem innych zapanować muszą.

O ile pierwsze zagadnienie jest czysto przyrodniczem i na drodze dalszych badań nad teoryą dziedziczności rozwiązanem jedynie być może, o tyle dwa następne wkraczają zarówno w sferę badań społecznych, jak i antropologicznych, są zagadnieniami, które odnoszą się do jednostki i do warunków w jakich żyje, do grupy i do jej udziału w cywilizacyi dotychczasowej, oraz do siły potencyalnej, która w kulturze przyszłości miejsce jej zapewni. Rozwiązanie ich należeć będzie do hygieny społecznej, którą młody autor właśnie przygotowuje do druku.

Z. Dański.

WAŻNE SPOSTRZEŻENIA.

Pedagogia z dniem każdym coraz szersze obejmuje pola i coraz liczniejsze gałęzie wiedzy zagarnia na swoje usługi. Rozumny, światły wychowawca nie może się dziś obyć bez psychologii i hygieny, a oto świeżo do pomocy szkole przybywają ważne badania i odkrycia na tle patologicznem. Dr. Stein zwrócił baczną uwagę na przeskoki nagłe w zdolnościach, pilności i uwadze uczniów bez żadnych widocznych powodów. Zaczął tedy uważniej dociekać przyczyn, przynoszących tyle zawodu i goryczy rodzicom a wpływających zgubnie na losy młodzieży. Przeprowadziwszy liczne badania nad młodzieżą szkolną, specyalista ten przyszedł do przekonania, że owe nagłe zmiany, upadek zdolności nawet u celujących, wynikają z tworzenia się adenoidów, tj. przerostu błony śluzowej w nosie i nosogardzieli. Obfity materyał, zebrany przez lekarzy zachodnio-europejskich, wykazuje, że adenoidy najczęściej zdarzają się u dzieci między 5 a 15 rokiem życia, rzadziej między 15 a 20, a więc najbardziej podlegają temu cierpieniu uczniowie klas niższych i średnich. Po 15-ym roku choroba owa zdarza się rzadziej. Dręczy ona dziatwę obojej płci, najbardziej w okresie między 8 a 15 rokiem życia.

Przyczyn tworzenia się adenoidów jeszcze dostatecznie nie zbadano. To tylko stwierdzono, że choroby zakaźne, jak odra, szkarlatyna i inne, tudzież zbyt silne wahania klimatyczne sprzyjają przerostom. Często rozwijają się one u dzieci jednej rodziny, skutkiem dziedziczności. Przekonano się wreszcie, że rozwojowi tej choroby dopomagają przyczyny zewnętrzne, jak np. kurz i że wreszcie adenoidy wynikają często na tle skrofułów. Jeżeli przerosty są niewielkie, płaskie, nie utrudniają oddychania i nie wywołują powikłań, to można je pozostawić, jest bowiem nadzieja (nie zawsze atoli pewna), że między 15 a 20 rokiem życia cierpienia te znikną zupełnie. Ale skoro tylko dadzą się zauważyć cierpienia oczu, uszu, niewyraźna wymowa z nosowem brzmieniem, zapadłe piersi, bóle głowy, słabe skupienie uwagi, anemia, wstrzymany rozwój piersi u dziewcząt, bicie serca, ciężki oddech, nieprawidłowy układ zębów, szczególnie kłów górnych i wiele innych oznak, którym często towarzyszy charakterystyczny wyraz twarzy — w takich wypadkach nie należy zwlekać z operacyą, gdyż mogą być następstwa fatalne.

Dr. Stein dla usunięcia lub złagodzenia tych niedomagań proponuje następujące środki: 1) Należy doradzać rodzicom, ażeby baczną zwracali uwagę na stan nosa swoich dzieci jak najwcześniej przed oddaniem do szkoły. 2) Przy przyjęciu kandydata do zakładu naukowego konieczne jest świadectwo specyalisty o stanie uszów, nosa i gardła malca, albo też lekarz szkolny powinien te badania przeprowadzić i zaznaczyć w księdze osobnej. Po przebyciu choroby zakaźnej, szczególnie odry i szkarlatyny, należy po upływie kilku tygodni znowu zbadać malca. Trzeba poddawać ucznia dokładnej obserwacyi w każdym wypadku, jeżeli się spostrzeże nagłe tępienie zdolności, osłabienie pilności i uwagi. Przy opuszczeniu szkoły trzeba jeszcze raz zbadać wychowańców, szczególnie tych, u których znaleziono adenoidy. 3) Wreszcie należy zrewidować nos, uszy i gardło wszystkich tych, którzy już dawniej są przyjęci do szkoły.

Taka jest suma spostrzeżeń i środków, dokonanych i założonych na Zachodzie. Świat pedagogiczny, lekarski i wreszcie ogół rodziców żywo się zainteresowali tą niezmiernie ważną sprawą, która rzuca nowe światło na zdolności młodzieży szkolnej i może zmienić znacznie system wychowania, prowadzony dotąd mylnie i częstokroć szkodliwie. Badania lekarskie zajmują tedy w wychowaniu pierwszorzędne miejsce. Chcąc atoli doprowadzić je do szczytu doskonałości, należy do personelu pedagogicznego każdej szkoły dołączyć lekarza-specyalistę. Ażeby to zanadto nie obarczało budżetu, przynajmniej na razie, w większych ogniskach można byłoby parę szkół oddawać pod dozór jednego lekarza, ale nigdy nie za wiele, gdyż przy nawale zajęcia nie mógłby on sumiennie podołać obowiązkom. U nas o takiem badaniu nosa, uszów i gardła młodzieży szkolnej jeszcze nie słychać, a w stosunku do ludności wielomilionowej jest tak mała garstka specyalistów w tym zakresie, że prawie ich nie znać. Stoi tedy otworem nietknięte jeszcze a niezmiernie ważne zadanie.

Dr. Z. Mirski.

LITERATURA I SZTUKA.

SIENKIEWICZA „QUO VADIS.“

Celniejszym przedstawicielom krytyki nowoczesnej oddawna znane były zasadnicze niebezpieczeństwa twórczości mieszanej, rodzajowo-połowicznej, złożonej w równych częściach z prawdy i zmyślenia, z nauki i fantazyi. H. Taine w swojej klasycznej, na język polski dotąd nie przetłomaczonej „Historyi literatury angielskiej“ (t. IV, str. 309), Jerzy Brandes w swych „Głównych prądach“ (t. IV, str. 151), obaj jednozgodnie zaznaczyli z powodu Walter-Scotta, ojca metisowej tej produkcyi w romansie historycznym, że klejonki takie nie wytrzymują najlżejszej próby czasu: rozlażą się niemal nazajutrz. Albo subtelna tkaninka fikcyi poetyckiej pęka pod naciskiem przeładowanego materyału dziejopisarskiego, albo wątła grudka erudycyi historycznej rozpuszcza się i znika bez śladu w pienistych potokach bajeczności dowolnej, — a ilekroć dwa te szkopuły wyminęło się szczęśliwie, trzeci pryska i zalewa ci oczy hałaśliwym koncertem żywiołów niewyrównanych, niezcalonych, nieprzystających do siebie. Mistrzów, którzyby z przeprawy wrócili — nie powiem zwycięzko, lecz choćby tylko z duszą, każdy dziś zna i wytyka z chlubą: Hugo w „Notre Dame,“ Flaubert w „Salambo“ i — naturalnie — Sienkiewicz w „Quo vadis.“

Ostatni wypadek nikogo nieprzygotowanym nie zastał. Marynarz, który nie utonął na burzliwem morzu wojen szwedzkich i kozackich, nie mógł doznać rozbicia w zatoce starożytnictwa rzymskiego, z której czas wyssał do kropli żywą wodę zdarzeń. Na takich mieliznach nawet p. Jeske-Choiński do kostek się nie zabroczy. Okres dziejów od Nerona do Marka-Aureliusza dokładniej i szczegółowiej za dni naszych był zbadany, niż okres od Napoleona I do Napoleona III, a pobrzeże Tybru z lat 60—180 po Chr. dostępniejsze są dla nas od pobrzeży nadwiślańskich z r. 1894. Niepotrzebne tu przewodnictwo Tacyta, Swetoniusza, Dyona-Kassiusza, Józefa-Flawiusza, Juwenala, Marcyala lub Perseusza; zbytecznem byłoby zaglądać do Mommsena, Lipsiusa, Orellego, Muratorego lub Wiktora Duruy'a. Najpospolitszy słownik francuski lub niemiecki archeologii grecko-rzymskiej nie omieszka objaśnić, w którym wieku motłoch wiecznego miasta trącił bobem prażonym z zanadrza i potem od zajadłej gry w morę po rogach ulic, albo też, kiedy mianowicie pobielano wapnem nogi niewolnic, wystawionych po raz pierwszy na targ.

W powieści Sienkiewicza topograficzna, monumentalna, sceniczna i portretowa strona historyi przedstawia się mocno, a wygląda malowniczo. Twarzy i mimice Nerona nieby do zarzucenia nie miał, jak sądzę, największy znawca. Odnajdujemy tu świeży i wielki talent reprodukcyjny, któremu piśmiennictwo nasze zawdzięcza postać Chmielnickiego. To samo należałoby powiedzieć o Petroniuszu, gdyby nie jego listy do Winicyusza, zanadto wypięknione według wzorów Cycerona i Seneki. Poppea i Akte, jedna nieco za rumiana, druga trochę za blada. Miłe wrażenie rzeczywistości sprawia również dom Aulusa Placyusza i Pomponii Grecyny, chociaż oblany zanadto jasnem, jak na tamte czasy, światłem „dobrej nowiny.“ Rzym pali się bardzo dobrze, dziwimy się tylko, dlaczego w parę tygodni po pożarze nie spostrzegamy już ani źdźbła sadzy na hulaszczem, szeroko zawsze rozpłyniętem tle ówczesnego życia; jeżeli w tem tkwił zamiar dosadnego wystawienia nieczułości na niedolę publiczną stanów używających, to literacka podszewka pomysłu jest wyśmienita, ale bez plastycznego wierzchu. Kilka uczt pałacowych i ogrodowych przypomina zdaleka berlińskie korespondencye z St. Cloud i lasku Bulońskiego w epoce drugiego cesarstwa we Francyi, lecz składa się dość prawidłowo na gęste i jaskrawe plamy w obrazie owej moralnej zgnilizny, która łono społeczności rzymskiej nurtowała wieki, nie lata, i w tem swojem rozcieńczeniu nieubłaganie zadaje dziś kłam najgenialniejszym kombinacyom artyzmu. Wreszcie co do efektownego widowiska mąk i tracenia chrześcian, obfita w tym punkcie kopalnia podań i świadectw (znacznie późniejszych) wyzyskana jest nietylko umiejętnie, lecz — co o wiele zaszczytniejsze — nader oględnie. Wspaniały opis więzień uległ umiarkowanemu „zmodernizowaniu“; niektóre drobne szczegóły ceremoniału i przebiegu igrzysk musiały być przeinaczone gwoli akcyi powieściowej i na pożytek fabuły (np. ogniowa próba ciał martwych nietylko na arenie, lecz przed wynoszeniem na cmentarz); raca zabaw cyrkowych w przygodzie z turem, któremu ligijczyk Ursus łeb skręca, zakrawa z początku na szopkę, ale szopka opłaca się natychmiast ogromnem napięciem dramatyzmu w przepysznem odzwierciedleniu walki wszechwładztwa gminu z najwyższą wolą i sankcyą cezara. Długo później ocieramy sobie pióro z zapału, chcąc wrócić do spokoju i równowagi sądu. Panorama olśniewa, ale w jej oświetleniu czujemy od początku jakieś krzywe, połamane, nad wyraz przykro rażące promienie... mimowolnej nierzetelności, mimowolnego zejścia z twardego gruntu faktów historycznych i przerzucenia się na niewymierne pole dowolności romansopisarskiej.

Rozstrój ten tkwi być może wyłącznie w wyobrażeniach recenzenta i stąd poszedł, że autor w określeniu i uwydatnieniu stosunku rodzącej się duszy nowego świata do obumierającego cielska cywilizacyi starej, pogańskiej, korzystał ze źródeł całkiem nam obcych, niedostępnych. Ale przypuszczenie nie wszędzie służy. Nie służy ono przedewszystkiem w głównej, naczelnej przędzy opowiadania, w szeroko osnutych i wyszukanych motywach doraźnego prześladowania chrześcian za Nerona. Dwór pragnął uwolnić się od podejrzeń o spalenie Rzymu, winę zwalono na „nieprzyjaciół rodu ludzkiego“ — to elementarnie autentyczne. Jakże jednak poradzić sobie z niemniej autentycznem świadectwem kronikarzy, że klęska spadła wyłącznie na jedno wyznanie, na jedną sektę owych „nieprzyjaciół,“ nie dotknąwszy drugiej, aczkolwiek obie one stanowiły nierozłączną całość w oczach ówczesnego „rodzaju ludzkiego“? Zgadzamy się najchętniej, że bywa położenie, w którem nie wolno stawiać na ostrzu noża pytań podobnych i że w takiem właśnie położeniu znajduje się społeczeństwo nasze, które po dziśdzień nie mogło zdefiniować sobie ostatecznie, czy rzeźnik Mordko z Grodziska i krawiec Szmul z Kocka powinni lub nie powinni gardłem odpowiadać za niewinnie przelaną krew Chrystusa. Kosmyk dymu, rzucony w dodatku do tego na żydów z pochodni Nerona, mógłby szalę wyroku przeciwko nim przechylić, mógłby rozżaloną opinię publiczną licho wie do jakiej krańcowości popchnąć. Nie można zatem bezwarunkowo za złe poczytać Sienkiewiczowi, że tyle trudu zadał samemu sobie i tyle przyjemnych chwil przysporzył swym czytelnikom, wykazując *istotnych* sprawców pogromu z r. 64 ery naszej. W ich poczcie jedno z pierwszych miejsc zajmuje najdawniejszy z brulionów Zagłoby, przyodziany naprędce w filozoficzną tunikę Chilona Chilonidesa i odgrywający rolę Judasza II-go w rozgadany sposób Gringoire'a z „Katedry Najświętszej Panny Paryskiej.“ Do gry wchodzą jednocześnie wielce możliwe miłostki boskiej małżonki cezara, Poppei, i tygrysie zawiści Neronowego przybocznika, Tigellina, współzawodniczącego z estetą Petroniuszem, ten zaś w amatorskiej trosce o erotyczne zabiegi swego siostrzeńca, Winicyusza, zakochanego w neofitce Lygii, także się w części przyczynia do ściągnięcia gromów na chrześcian itd. Powstają stąd jakieś zarośla przyczyn romantycznych, tak misternie i szczelnie z sobą powiązanych, że za niemi w zupełności znika dziejowy wykładnik, przyrodzona racya wzrostu chrystyanizmu, geneza jego cierpień i tryumfów dalszych: owa zażarta, „pobratymcza“ walka zmurszałej w konserwatyzmie „synagogi“ z kiełkami świeżej, reformatorskiej działalności „kościoła“ — naczelne, najgrubsze tych pierwocin zjawisko. U Sienkiewicza nie spostrzegamy nigdzie najlżejszych śladów tego organicznego, zasadniczego procesu; jest tylko parę mglistych, zatynkowanych zagadek, w rodzaju niewytłomaczonego przeciwieństwa nikłej, zatartej sylwetki św. Pawła (przedstawiciela kierunku kosmopolitycznego) do ostro i twardo na pierwszy plan występującej postaci św. Piotra (reprezentanta zlagodzonej dążności rodowej, której pełnię judeo-chrześciańską piastował przed laty w Jerozolimie brat Chrystusów — św. Jakób).

Oderwany od podwalin i cechowych znamion pochodzenia, uwolniony od burzliwych rozterek wewnętrznego początkowania, pierwotny ten kościół rzymski istnieje w *Quo vadis* jako całość zamknięta i skończona, a wyidealizowana raczej według wzorów powszechno-chrześciańskich, uogólnionych, typowych, niżli na podstawie dokumentów miejscowych i współczesnych. Jesteśmy w powieści świadkami pewnego wrzenia i pewnych stopniowych przeobrażeń, niekiedy zanadto szybkich. Dozwolony to w sztuce eklektyzm, godziwa i w pewnych warunkach nieunikniona rektyfikacya syntetyczna. Udała się ona Sienkiewiczowi w jednych miejscach doskonale, w innych znowu mniej szczęśliwie wypadła. Legendę o widzeniu ś-go Piotra w ucieczce z Rzymu ożywia to samo potężne tchnienie, pod którem niegdyś drżała ręka ś-go Pawła, gdy cudowności wystawiał najdonioślejsze i najwiarogodniejsze z Zakonu świadectwo: „Podałem wam, com też wziął: iż Chrystus umarł... i powstał z martwych,.. i widziany był od Cephy, a potem ukazał się jedynaściam; potym był widzian więcej, niżli od pięci set braciej wespołek, z których wiele ich trwa aż dotąd, a niektórzy zasnęli; potym był widzian od Jakuba, potym od wszystkich apostołów, a na końcu, po wszystkich, był widzian i ode mnie, jakoby od poronionego płodu, bom ja jest najmniejszy pomiędzy apostoły“ (I do Koryntyan, XV, 3—9). Rzecz prosta, że przy tonie tym niepodobna było utrzymać się bez przerw i luk, które się łatało czem się mogło, — tu ówdzie, w wypadkach przecież rzadkich, na chybił trafił. Gorący, ponury, mesyaniczny prąd powietrza, w którem powstała Apokalipsa, które pochłaniało wszystkich, górowało nad wszystkiem, skroplił się zaledwie na parę kabalistycznych improwizacyi Kryspusa, ale sam ten Kryspus wygląda niemal na herezyarchę wobec ogółu wiernych, odpychającego wciąż jeszcze lazurowemi przezroczami Kany galilejskiej i już poruszającego się w mocnej i spokojnej wierze pierwszych pionerów amerykańskich, lub purytanów z doby Jeremiasza Taylora. Takie *mixtum compositum* w wielu razach oczarowuje i zachwyca; odstręcza zaś dopiero wtedy, gdy au-

tor bierze się do mechanicznego wyrównywania sprzeczności logicznych lub tekstualnych, jak się to szczególnie ujawniło w kilku przemówieniach św. Piotra, w jego np. relacyi rezurekcyjnej, do którejby się nie przyznał ani jeden ze czterech ewangelistów, czy to z osobna, czy w kompilacyjnem zestawieniu z innymi.

Baśni, która ją ma uzupełniać, udostępniać i okraszać, nie chciałbym poruszać. Nie budzi ona we mnie najmniejszego zaufania. Choćbym spożył wszystkie homelijne księgozbiory *Słowa* i *Wieku*, nie zdołałbym nikogo przekonać, że bohaterska para Winicyusza i Lygii-Calliny żyła, wykradała się nawzajem i cackała się z sobą kiedyindziej, niż w wieku XIX i gdzieindziej niż nad Wartą lub Pilicą. Pałaszowo — jest to post scriptum do partycyi z Wołodyjowskiego, czy też ze Skrzetuskiego; psychologicznie — echo rozmów Anielki z Płoszowskim, Maryni z Połanieckim. Szafarzyk, Szembera, Tadeusz Wojciechowski, Wilhelm Bogusławski możeby z tem sobie jakoś poradzili. Winicyusz — oczywiście — pochodzi od Wenedów, Windów, Winidarów, o których Jornandes, kronikarz z wieku VI-o po Chr., powiada na początku swych dziejów gockich, że się rozsiedli po niezmiernych przestrzeniach... *per immensa spatia*, „poczynając od źródeł rzeki Wisły." Byli to niezaprzeczenie praojcowie dzisiejszych Słowian zachodnich. To samo i Ligiowie tacytowscy, — gałąź Swewow, których kilka odłamów Ptolomeusz umieścił na swej mapie około Kielc i Kalisza. Callina właśnie była córką królika ligijskiego, o jej zaś urodzie niesłychanej świadczy Winicyusz niemal słowami d-ra Röntgena: „Raz o świcie zobaczyłom ją myjącą się w ogrodowej fontannie i przysięgam na pianę, z której powstała Afrodyta, że promienie zorzy przechodziły na wylot przez jej ciało..." Albóż możliwy większy dowód, że Ligia-Callina była Polką? Otóż, wiadomo *urbi et orbi*, że Polacy i Słowianie zachodni, od śmierci Chrystusa nie uczynili ani jednego kroku bądź na prawo, bądź na lewo, bądź też naprzód; a więc jesteśmy w zupełnym porządku, ilekroć Winicyusz i Callina strzygą do siebie oczkami za Nerona kropla w kroplę tak, jak Aniela z Wołodyjowskim i Płoszowski z Olenką strzygli za Jana — Kazimierza...

Bezwątpienia, dałoby się na ten temat skreślić sążnistą nawet krytykę bajecznej strony nie ostatniego i nie jednego tylko dzieła Sienkiewicza, ale cóż, — nie mamy dotąd żadnego wyobrażenia ani o Tadeuszu Wojciechowskim, ani o Wilhelmie Bogusławskim, ani Szemberze, ani nawet o Szafarzyku w przekładzie d-ra H. N. Bońkowskiego z r. 1842.

J. T. Hodi.

PRZEGLĄD MUZYCZNY.

Z estrady i ze sceny.

Towarzystwo muzyczne obchodziło 25-cio lecie swego istnienia wielkim koncertem. Że przez ten okres ćwierćwiekowy przyczyniło się do rozwoju muzykalności w mieście naszem, że niejednemu artyście było pomocą i poparciem — rzecz to nie ulegająca wątpliwości; a jeżeli nie doszła dotąd do tych wyżyn artystycznych, na jakich instytucya podobna stać powinna, nie stało się to skutkiem braku starań ze strony kolejnych dyrektorów Towarzystwa, którzy z wielu trudnościami i przeszkodami borykać się musieli. Na uroczystość jubileuszową przybyło dwóch dawnych przewodników instytucyi, — Józef Wieniawski i Władysław Żeleński, — pamięć trzeciego, któremu nie było przeznaczonem brać w niej udziału, Aleksandra Zarzyckiego, uczczono włączeniem utworów jego do programu.

A program ten stanowił niejako obraz współczesnej muzyki rodzimej. Rozpoczęty „Polonezem jubileuszowym," nagrodzonym na konkursie Tow. muzycznego, a napisanym przez młodego kompozytora, p. J. Pileckiego, dawał słuchaczom kolejno utwory Wieniawskiego, Żeleńskiego, Zarzyckiego, Noskowskiego, Moniuszki, Chopina. Znalazła też, i słusznie, miejsce w tym jubileuszowym programie kompozycya (na chór męski) „Do pieśni" Józefa Sikorskiego, jednego z pierwotnych założycieli Towarzystwa. Stało się więc, że choć większość utworów nie była słuchaczom znana, żaden nie wydał im się obcym, ze wszystkich płynęły wprost do serca idące melodye.

Jednakiem echem odbiły się w duszy rytmy „Mazura sielankowego" Wieniawskiego i „Mazura" ze „Suity tańców polskich" Żeleńskiego, jednako miłym dźwiękiem wpadały w ucho skoczne tony „Krakowiaka" (z tejże „Suity") Żeleńskiego i „Krakowiaka" ze „Suity polskiej" Zarzyckiego,—jakkolwiek na każdym z nich autor wycisnął odrębne piętno swej twórczości. Ta sama znana nuta dźwięczała w pieśniach, wykonanych znakomicie pod względem artystycznym przez p. Józefę Szlezygierównę, oraz przez chór „Liry."

Do fortepianu zasiadł, po wielu latach nieobecności w mieście naszem, Józef Wieniawski i z właściwą grze swojej elegancyą i dokładnością wykonał część 1-szą własnego „Koncertu" (g mol), własnego „Poloneza" (nr. 3), „Etiudę (nr. 12) Chopina; ze skarbca Moniuszki zaś wydobył niegraną dotąd u nas „Elegię." Ujął też Wieniawski i za batutę, aby zadyrygować orkiestrą, wykonywającą części z jego „Suity romantycznej," po nim zaś dzierżyli pałeczkę dyrektorską kolejno Żeleński i Noskowski, który skromną bardzo cząstkę wyznaczył utworom swoim w tym obchodzie. Słuchacze musieli się zadowolić dwiema zaledwie pieśniami. Obecny dyrektor Towarzystwa doczekał się wszakże tryumfu niemałego: publiczność zażądała od p. Szlezygierówny, aby trzykrotnie powtórzyła jego „Skowroneczka."

Na tym koncercie popisywała się po raz pierwszy orkiestra świeżo zorganizowana przez pp. Konopaska i Pileckiego, a przeznaczona dla wystawy hygienicznej. Z tego, cośmy słyszeli, mamy prawo wnosić, że doczekamy się nareszcie własnej orkiestry „symfonicznej," a fortepianista pragnący, bądź swój, bądź cudzy utwór wykonać z orkiestrą nie będzie zależny od teatralnej, która tak rzadko rozporządza wolnym czasem.

Zaledwie pożegnała nas mezzo-sopranistka, upierająca się przy partyach sopranowych, zawitała na kilka występów śpiewaczka obdarzona sopranem *leggiero*, która zapragnęła zdobywać laury w rolach przeznaczonych przez kompozytora mezzo-sopranowi. Tym razem jednak próba udała się szczęśliwie, bo zadania podjęła się artystka rozgłośnej a zasłużonej sławy, p. Sigrid Arnoldson. Przedstawiwszy się, jako Violetta i Rozyna, — znakomita śpiewaczka wybrała na trzeci popis rolę Mignony. Partyę tę transponował niegdyś Thomas dla znakomitszej jeszcze współrodaczki p. Arnoldson — Krystyny Nilson. Wszelkie przeróbki późniejsze, wszelkie poprawki pierwotnego natchnienia szkodę tylko przynoszą dziełu, — to fakt niejednokrotnie stwierdzony. Nie uniknęła tego losu i partya Mignon, co najbardziej dało się uczuć w cudnym romansie „Znasz-li ten kraj" (akt I-szy), którego pierwotną tonacyę (des dur) kompozytor zmienił dla śpiewaczki. Straciła na tem bardzo rzewność i pełnia melodyi.

Jeżeli jednak autor znajdzie taką jak p. Arnoldson tłómaczkę utworów swoich, może je bezpiecznie z wszelkiemi, mniej lub więcej udatnemi, przeróbkami powierzać w jej ręce, pewny zawsze powodzenia dzieła. Artystka wcieliła się poprostu w bohaterkę Goethego, stworzyła postać, owianą niesłychanym urokiem poetycznym, pełną dziewiczego wdzięku i prostoty. Niemałą pomocą w uplastycznieniu tego typu tęsknoty, są pani Arnoldson dane, jakie otrzymała od natury, — drobna kształtna postać i uroda cór Północy, mająca odrębną cechę rozmarzenia, oczy — wdal zaopatrzone, jakby zahypnotyzowaną, niewidzialną dla otoczenia, fatamorganą dalekiej ojczyzny.

Głos śpiewaczki dźwiękiem swoim należy do najszlachetniejszych, a wyrobieniem stanąć może śmiało w szeregu najsłynniejszych. Tam, gdzie mu w chwilach dramatycznych zabraknie potęgi, artystka grą fizyonomii, dykcyą tak potrafi zająć słuchacza, że się o tym braku zapomina. Cały akt II-gi, w ciągu którego Mignon nie schodzi prawie ze sceny, a przechodzi przez całą gamę najsprzeczniejszych uczuć, był zarówno pod względem wokalnym, jak aktorskim jednym z najświetniejszych operowych popisów, jakie nam się zdarzyło słyszeć.

P. Skulska partyę Filiny, najeżoną trudnościami koloraturowemi, wykonała bardzo poprawnie i może ją zaliczyć do najlepszych w swoim repertuarze; nigdzie zachwiania się w intonacyi, wszędzie jednaka czystość w gamach i trylach. P. Sillich miał w roli Lotaria odpowiednie pole do wykazania całego bogactwa swego pięknego głosu, a p. Dyliński był w miarę zabawnym Laertesem. Dla p. Morlacchiego — wykonawcy partyi Wilhelma — publiczność nasza jest niesprawiedliwa. Nie obdarzyła go natura ani zdumiewającym głosem, ani wybitnemi zdolnościami aktorskiemi, — to prawda. Ale pracownik to sumienny i z drugorzędnych ról, jakie mu powierza reżyserya, wywiązuje się lepiej, niż ci, którym się zachciewa z nieodpowiedniem zasobem zdolności i sił „udawać" Faustów i Otellów.

W pannie Katarzynie Jaczynowskiej przybyła fortepianowej sztuce wykonawczej bardzo poważna siła. Już pierwsze wystąpienie jej w Towarzystwie muzycznem dało sposobność do nader pochlebnej a całkowicie zasłużonej oceny jej talentu, nie nastręczyło wszakże możności poznania go w całej pełni. Dopiero na koncercie własnym (d. 21-go kwietnia), którego całkowity program wykonała sama, młoda artystka mogła wykazać należycie wszystkie niepospolite zalety swego wirtuozostwa. Więc, głębokie wniknięcie w ducha utworu, powaga i duży smak artystyczny w wykonaniu, przytem technika niepospolita, uderzenie pewne i dźwięczne. Posiadając takie dane, p. Jaczynowska mogła śmiało pokusić się o wykonanie tak różnorodnymi mieniącego się żywiołami dzieła, które podobało się twórcy jego — Schumannowi — ochrzcić skromną nazwą „Humoreski." Ile tam bólu drga w tej „Humoresce," do jakich marzeń nakłaniają szerokie melodye, do jakiego wesela pobudzają rytmiczne frazesy — to Schumann w każdym calu. O ile pamięcią sięgamy, wielkie to dzieło nie figurowało u nas dotąd na programie koncertowym żadnego fortepianisty, szczególnie zatem uznanie należy się p. Jaczynowskiej za wykonanie „Humoreski" owej, co rozmiarami sonatę przekracza, a polotem najklasyczniejszej symfonii dorówna.

Beethoven, Chopin, Rubinstein jednako poważną i wytworną wykonawczynię mają w młodej fortepianistce,—nie uchybi ona nigdzie myśli twórcy, nie spaczy nigdzie jego intencyj. Utarty szablon koncertowy każe zakończyć każdy popis ja-

kąś brawurową „sztuką" — zastosowała się do tego szablonu i p. Jaczynowska: dała na koniec „Poloneza" Liszta. Jakkolwiek artystka tej, co ona miary, zawsze z podjętego zadania wywiąże się chlubnie niemniej, nie zdaje nam się, aby owe utwory, olśniewające brawurą i efektami technicznymi, odpowiadały istocie talentu p. Jaczynowskiej.

Br. N.

NOTATKI LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

— Antoni Pilecki. *Dekadenci.* Prelegent obrał przedmiot literacki bardzo ciekawy dla słuchaczów i dotąd jeszcze nie poruszany u nas z katedry. Kreśląc w dwu odczytach szkicowo obraz dekadentyzmu, jako tło tego rodzaju twórczości literackiej wziął głównie Francyę. Brak miejsca nie pozwala nam rozwodzić się nad tem, co mówca powiedział, a czego nie dopowiedział, tembardziej, że ów temat literacki prelekcyi wymagałby szczegółowego rozbioru. Dodać więc tylko winniśmy, że p. Pilecki, posiadający dar potoczystego i obrazowego wykładu, potrafił, jak zwykle, wielce zainteresować publiczność i zarazem przysporzyć dochodu na cele dobra ogólnego, za co mu się należy szczere podziękowanie.

— W Towarzystwie antropologicznem przy uniwersytecie petersburskim p. Romanowskij-Romańko odczytał komunikat o działalności Ludwika Krzywickiego, jako antropologa i publicysty. Prelegent wysokie oddawał mu pochwały i postawił w szeregu najznakomitszych antropologów współczesnych.

— W miesięczniku *Ruskoje Obozrenie* p. Korniłow umieścił studyum o księciu Adamie Czartoryskim. Głównie autor mówi o stosunku księcia do Cesarza Aleksandra i dwunastoletnim zarządzie okręgiem naukowym wileńskim. Uniwersytet wileński, zdaniem p. Korniłowa, był siedliskiem znakomitych pisarzów polskich, agitatorów i uczonych i jako taki, wywierał wpływ polityczny na wszystkie zależne od niego zakłady naukowe. Wogóle w całem studyum daje się widzieć przesada.

SPRAWY EKONOMICZNE.

W TYSIĄCZNĄ ROCZNICĘ.

Tysiącolecie swego bytu politycznego obchodzą w tym roku Węgry. Święcą rocznicę uroczyście. Urządzają wystawę narodową, która ma być nie tylko obrachunkiem istniejącej teraźniejszości, przemysłowej i handlowej, nietylko obrazem dzisiejszego stanu kultury umysłowej, ale także panoramą przeszłości, o ile zachowała się w architekturze i pomnikach lub dotrwała w zwyczajach i strojach. Zamierzano nawet wskrzesić dawną, bo średniowieczną, zasadę „pokoju bożego" na ten tysiączny rok istnienia: w ciągu uroczystości stronnictwa miały zapomnieć o wzajemnych krzywdach i urazach, tak, ażeby sejm zalitawski, mocny zgodą powszechną, mógł wziąć się do pracy organicznej, któraby na przyszłe wieki upamiętniła rok 1896. Znając naturę społeczeństwa klasowego, można było z góry przewidzieć, że rzeczywistość wychłoszcze nielitościwie te plany. Życie nie zna zawieszenia broni i odłożyć, choćby na czas najkrótszy, oręż w zapasach partyjnych, to znaczy dać możność jednemu z przeciwników zająć powną placówkę. Obóz liberalny, znękany paroletnią walką o reformę prawa małżeńskiego, łaknął właśnie wypoczynku, który, bądź co bądź, jest równoznaczny z przedawnieniem pownych uraz. Nie dziw, że opozycya nie przystała na pokój. Zawieszenie walki prysło, zanim jeszcze ze słowa stało się czynem.

Naród węgierski odznacza się niespożytą żywotnością i mocą. Są cechy, które w pojedynczej osobie rażą. Arogancya, zwłaszcza idąca w parze z pociągiem do reklamy, usposabiają nas niekorzystnie dla tego, kto folguje tym wadom, nawet chociażby ukrywały one w głębi, pod taką szatą niepowabną, istotną zasługę. Właściwości te, skoro występują jako przymioty ducha narodowego, rozstrzygają o znaczeniu jego w historyi: zarozumiałość, byleby oparta na pewnej podstawie głębszej, świadczy o wierze w siły własne i co za tem idzie, o ruchliwości kulturalnej i politycznej. Umiejętność reklamy jest znowu dowodem świadomości swych interesów. Etyka indywidualna a moralność zbiorowa rządzą się zasadami odmiennemi. Węgry mają obie wymienione wady, lub właściwiej, z punktu żywotności narodowej, zalety. Zarozumiałość madziarska posuwa się wielokrotnie do drapieżności systematycznej. Połowa przedlitawska monarchii habsburskiej od lat paru rozbrzmiewa skargami na uciążliwe warunki, na których spoczywa jej sojusz handlowy i przemysłowy z Zalitawią. Prasa, sejmy krajowe oraz rząd przedlitawski usiłują od pół roku skłonić madziarów do zrobienia pewnych ustępstw, gdyż właśnie nadszedł czas odnowienia nadal kończącej się konwencyi. Nadaremno wysiłki! Krzywda wprost bije w oczy. W ciągu dziesięciolecia, które upłynęło od zawarcia dzisiaj obowiązującej ustawy celno-handlowej, kraje, wchodzące w skład korony św. Stefana, rozwinęły się pod każdym względem: finansowym, kulturalnym i przemysłowym, przytem tempo postępu ekonomicznego jest tam żywsze i prędsze, aniżeli w Przedlitawii. Stosunek, w jakim obie połowy państwa habsburskiego postanowiły przykładać się do wspólnych wydatków, już na samym początku był niesprawiedliwy, ale, bądź co bądź, nawet dzisiaj Węgry nie chcą słyszeć o ustępstwach. *Republicae salus suprema lex!*—zasada ta egoizmu narodowego wżarła się w krew i kości przedstawicieli rządu węgierskiego.

Zamierzona wystawa i zabiegi około wyzyskania okazyi oraz zapewnienia jej powodzenia składają o sprężystości Madziarów wymowne świadectwo. Możnaby mniemać, że od yankee'ów przejęli oni umiejętność ściągania uwagi na siebie. Pamiętam moje zdziwienie przed paru laty, gdy w kilku redakcyach warszawskich znalazłem broszurki w języku francuskim, rozesłane przez główny komitet obrony narodowej przeciw Rumunom siedmiogrodzkim. Nawet w tym wypadku, gdy słuszność była po stronie rumuńskiej, nie zaniedbano przekonywać świata o prawowitości postępowania Węgrów. Trafiono do obcokrajowych dzienników, niemających nawet wpływu! W tym szacunku nawet dla drobnego głosu na obczyźnie uwydatnił się takt i rozsądek polityczny potomków Apada. Tak samo wieść o zamierzonem święceniu rocznicy tysiącznej zabiegła do dalekich zakątków. Rząd rozsyłał książki i broszurki o uroczystości nawet do podrzędnych redakcyj za granicą, konsulaty otrzymywały transporty świstków i rozrzucały je na wszystkie strony. Ostatnia międzynarodowa wystawa w Paryżu mniej reklamowała się, aniżeli obecna budapeszteńska, ograniczona tylko do jednego kraju i, bądź co bądź, skromna z samej natury swojej.

Te przymioty właśnie sprawiły, że Węgry są Węgrami. Gromada plemionek rozbójniczych, osiadłszy śród liczniejszego a obcego sobie otoczenia słowiańskiego, umiała nietylko zachować swój język ojczysty, ale nadto utworzyła państwo samoistne. W ciągu wieków naród węgierski był posterunkiem, stojącym na straży cywilizacyi Zachodu przeciw wyznawcom islamu. Zalewały go powodzie osmańskie, kraj rozpadł się na części pojedyncze, jednę pod Turkiem, drugą pod Szwabem, trzecią niezależną, wytrwał jednak, wyszedł zwycięzko z doświadczeń i odzyskał byt niezależny. Gdy w całej Europie dawne gminowładztwo szlacheckie ginęło pod naciskiem centralnej władzy państwowej, na Węgrzech ocalało ono: krajowi temu odebrano konstytucyę dopiero po roku 1848, po nieudatnej próbie rozszerzenia jej drogą ruchu zbrojnego. Potomkowie Arpada wychodzili zbrojną ręką z każdej klęski historycznej. I w chwili dzisiejszej, w monarchii habsburskiej Węgry są częścią, z którą sprzymierzeńcy i przeciwnicy tego państwa liczą się najwięcej. Wpływ to nieproporcyonalnie silny w stosunku do liczebności Madziarów. Według statystyki urzędowej, która nie zawsze lubi prawdę, jest ich tylko przeszło siedem milionów. Stanowią oni w Zalitawii tylko 48%; co więcej, zaledwie 56% poddanych Korony św. Stefana zna język węgierski, tj. rozumie go i mówi nim.

Korzystając z materyału, ogłoszonego z okazyi wystawy przez jej zarząd, rozpatrzymy niektóre strony bytu dzisiejszego Zalitawii.

Oświata elementarna, z punktu społecznego najważniejsza, może poszczycić się na Węgrzech rozwojem dość znacznym. Na najniższym szczeblu, dla dzieci, które nie skończyły jeszcze sześciu lat wieku, istnieje tam wiele zakładów najrozmaitszego rodzaju: ogródków letnich oraz freblowskich, i szkół macierzyńskich (maternelles). Mianowicie: szkół macierzyńskich 876, ogródków freblowskich 109, ogródków letnich 744. Ogołem przytuliły one do siebie przeszło 750 tysięcy drobiazgu, tj. 75% całej dziatwy kraju, w wieku lat 3—6. Seminaryów nauczycielskich, mających przygotować siły pedagogiczne dla szkół macierzyńskich, jest 9. Uczęszczanie do szkół początkowych, od roku szóstego, jest obowiązkowe. Ta uwaga zwalnia nas od zapuszczania się w szczegóły statystyczne. Co do zakładów, które odpowiadają naszym gimnazyom klasycznym i realnym, jest 153 liceów i 33 szkół realnych, utrzymywanych przez państwo, municypalności i gminy wyznaniowe — na 17 milionów mieszkańców. Procent to bardzo znaczny. Istnieje dużo specyalnych zakładów niższych. Mamy więc 35 szkół handlowych, w tej liczbie 7 kursów dla kobiet i tyleż „akademij," tj. zakładów wyższych.

Dane te dowodzą, że Węgry, jakkolwiek pod względem kulturalnym stoją jeszcze bardzo nisko, rozporządzają jednak w chwili obecnej dobrze zorganizowaną machineryą, której przeznaczeniem jest rozpowszechniać w kraju zarodki wyższej umysłowości.

Widzimy taką samą zapobiegliwość także na polu rozwoju przemysłowego i rolniczego.

Bądź co bądź, Zalitawia jest krajem rolniczym. Rząd darzy więc tę gałąź przemysłu narodowego troskliwą opieką. Istnieje dla rolników parę stacyj chemicznych, których obowiązki polegają na dokonywaniu analizy nadsyłanych płodów i produktów po cenie wyznaczonej przez władze. Założono sześć stacyj dla badania jakości nasion. Utworzono doradcze komitety gospodarskie, złożone z profesorów szkół agronomicznych, które są obowiązane do udzielania wskazówek ziemianom, jak mają prowadzić gospodarstwo i urządzać płodozmiany, jakie hodować rasy i jaką dawać paszę inwentarzowi, oraz porad natury prawnej. Instytucye te udzielają rady bezpłatnie — ustnie lub listownie, i tylko gdy trzeba zjechać na miejsce, korzystający ponosi koszty. W Budapeszcie działa stacya entomologiczna, badająca owady szkodliwe, wyszukująca środki zaradcze, i zawiadamiająca ziemian o nadchodzącej pladze i sposo-

bach zapobieżenia klęsce. W potrzebie zakład ten wysyła specyalistów na miejsce dla kierowania robotami przeciw szkodnikom. Istnieje korpus inżenierów-agronomów, których zadaniem jest opracowywać plany gospodarowania i ulepszenia uprawy.

Rząd, wychodząc z zasady, że podniesienie poziomu hodowli w kraju nie może być pozostawione tylko zapobiegliwości prywatnej, wziął inicyatywę w tej mierze na siebie. Podzielił on kraj na okręgi, dla każdego z nich wybrał odpowiednią odmianę bydła rogatego, stosownie do tego, czy w danej okolicy przeważa chów stepowego na rzeź lub dla produkcyi nabiału itd. i zobowiązał prawem policyjnem z r. 1880 każdą gminę do trzymania stadnika. Dość powiedzieć, że w r. 1893 państwo sprowadziło do kraju 2,376 byków rasy alpejskiej i po cenie kosztów odstąpiło gminom. Nawet w zakresie pszczelnictwa ustanowiono takie zwyczaje. Istnieje departament pszczelarski, który rozdaje ule leśniczym, proboszczom, nauczycielom wiejskim, ażeby tą drogą rozpowszechnić postępowe sposoby hodowli — wogóle osoby te często są używane do takich posług: otrzymują rasowy drób np., z obowiązkiem udzielania jego sił rozpłodczych sąsiednim włościanom. Departament pszczelarski urządza wykłady o hodowli pszczół, użycza bezpłatnie wskazówek tym, którzy udają się po radę. Hodowla jedwabników, acz spoczywa w ręku prywatnem, jest pod kontrolą państwową.

Dodać musimy, że Węgrzy są pierwszem państwem w Europie, które zrozumiało całą doniosłość kontroli, względnie pomocy państwowej w zakresie udoskonalenia metod hodowli i uprawy. Tylko tą drogą można podnieść poziom kultury ziemi na przestrzeni kraju, zwłaszcza śród włościaństwa, z natury rzeczy rutynicznego. Prócz inspektorów, czuwających nad hodowlą, istnieją na Węgrzech bardzo liczne szkoły czysto agronomiczne rozmaitych typów. Akademia rolnicza, z kursem dwuletnim, wymaga od wychowańców rocznej praktyki, oraz ukończenia ośmiu klas; cztery średnie szkoły mają kurs obliczony na półtora roku i żądają patentu z klas sześciu. Dwanaście szkół gospodarskich udziela naukę włościanom, przeważnie wtajemnicza ich w praktykę rolną; nadto ma niebawem do tego zastępu przybyć jeszcze 5 nowych zakładów. Istnieją szkoły leśnictwa, ogrodownictwa, mleczarstwa.

Kraj pokryty jest siecią organizacyj ziemiańskich. Są tam ogólne narodowe związki rolników, właścicieli lasów, ogrodników, pszczelarzy, hodowców ryb i drobiu, spełniające wiele czynności, między innemi zaś ułatwiające zbyt produktu i kontrolujące jego jakość. Są stowarzyszenia prowincyonalne, obok nich prawie we wszystkich komitatach działają organizacye miejscowe, pod któremi jeszcze niżej powstają kółka ziemiańskie, ograniczające swoją działalność tylko do pojedynczej gminy. W obecnej chwili jest w Zalitawii na porządku dziennym projekt zorganizowania ziemian na przestrzeni całego kraju w formie przedstawicielstwa agronomicznego, któreby wzięło na siebie nietylko obronę interesów rolniczych, lecz także kontrolę nad postępem, zakup narzędzi i nasion, wzajemne ubezpieczenie. Byłyby to syndykaty francuskie, ale oparte na zasadzie obowiązkowości.

Zatrzymaliśmy się tylko nad rolnictwem i oświatą. Te dwie kartki, zaczerpnięte z dzisiejszych stosunków na Węgrzech, dostatecznie wykazały nam moc odbywającego się tam rozwoju ekonomicznego i kulturalnego. Ujrzelibyśmy podobny obraz, gdybyśmy zwrócili się do właściwego przemysłu. We wszystkich zakresach życia narodowego odbywa się w Zalitawii robota napięta.

Bezwarunkowo, Węgrzy są narodem, umiejącym robić historyę i pracować nad swoją wielkością.

LEON SAY

(ur. 1826 r.)

Zasługi przodków utorowały drogę Say'owi i pozwoliły mu pozyskać rozgłos po nad wartość własną. Książki, które po nim pozostały, minęłyby niepostrzeżenie, gdyby nie to, że wyszły z pod pióra dziedzica wielkiego imienia.

Dynastya Say'ów od trzech pokoleń pracuje we Francyi w zakresie teoryj ekonomicznych. Dziad spopularyzował dzieło Adama Smitha, jędrnym a filozoficznym dociekaniom wielkiego ekonomisty angielskiego nadając lekką, powabną i zarazem płytką postać. Dzięki Janowi Babtyście Europa dowiedziała się o nowej doktrynie. Czem przed paru dziesiątkami lat był Haeckel dla darwinizmu, tem pierwszy z dynastów dla rozwoju poglądów ekonomii klasycznej, które zresztą pod jego dotknięciem zamieniają się na świadomie klasową doktrynę. Szkoła klasyczna przechodzi do pospolitej. Były to we Francyi czasy panowania jeszcze szczątków merkantylizmu. Say, dziad, daje początek prądowi wolnego handlu i zostaje jednym z największych jego rzeczników w swojej ojczyznie. Syn, Horacyusz, trzyma dalej sztandar manczesteryzmu, ale przyszedłszy na świat w czasach innych, gdy krytyka zaczęła sprawdzać zasadnicze twierdzenie szkoły, jest jeszcze płytszy: ślizga się po powierzchni zjawisk ekonomicznych i zrywa z klasycyzmem, który zbyt szorstko, tj. szczerze rozpatruje zjawiska. Wnuk, Leon, należał do tego grona mamutów we Francyi, którzy na wszelkie niedomagania narodowe mieli jedno tylko lekarstwo: wolną konkurencyę! Szedł on w jednym zastępie z F. Passy'm i innymi i walczył przeciw reformom, powściągającym nadużycie plutokracyi. Może nie było zacieklejszego i komiczniejszego przeciwnika upaństwowienia kolei żelaznych. Reforma ta była czemś strasznem dla Say'a, wstępem do upadku cywilizacyi i powrotem barbarzyństwa! Projekt postępowego podatku od dochodów, który usiłował nadać powinnościom podatkowym obywateli kraju słuszniejszą podstawę, uchodził w jego oczach za zamach na świętość własności prywatnej; więc w przededniu skonu zbijał zamiary rządu w pewnym dzienniku. Duch czasu wcielił się w paru drobnych dodatkach do doktryny ojca i dziada, przedewszystkiem zaś w platonicznem uwielbieniu samopomocy kooperacyjnej. Wraz z Say'em ubywa jeden z ostatnich mamutów ekonomii pospolitej, która tylo zniszczyła talentów i zużyła dowcipu na utrwalenie w nauce tylko sofizmatów. Nowe pokolenie ekonomistów francuskich hołduje innym ideom: względności i historyczności.

W polityce Say był tem samem, co w ekonomii, mianowicie rzecznikiem interesów plutokracyi. Prowadził on układy z domem Rotschildów o udzielenie pożyczki na kontrybucyę wojenną r. 1871, uczestniczył we wszystkich reformach skarbowych. Senator od lat przeszło dwudziestu, przedstawiał w Izbie wyższej ów kierunek, przed którym świeżo kapitulował Bourgeois. W zakresie ekonomii płytki popularyzator tego, czego w tak utalentowany choć zwodniczy sposób bronili Bastiat i inni, w polityce obrońca interesów wielkiego kapitału spekulacyjnego, w życiu umiejętny robigrosz, odznaczał się nadto wielkim oportunizmem barwy umiarkowanej. *Z.*

SĄD.

Władze śledcze zebrały i ujawniły cały materyał dowodowy przeciwko b. policmajstrowi m. Radomia i spólnikom jego nadużyć, postawiwszy winnych przed sądem. Podajemy osnowę aktu oskarżenia:

D. 15 marca 1895 r. 48-miu właścicieli domów i kupców w Radomiu zwróciło się z podaniem do prokuratora sądu okręgowego radomskiego o prawną obronę w walce z zorganizowaną w mieście bandą złoczyńców. Wskutek tego jednocześnie prawie, kiedy poruszono sprawę bandy złodziejskiej, prokurator w d. 2 kwietnia 1895 r., na mocy rozporządzenia J. E. Głównego Naczelnika kraju, rozpoczął przedwstępne śledztwo w sprawie nadużyć służbowych policmajstra Radomia, rotmistrza Włodzimierza Kiryczenki, oraz osób podwładnej mu komendy.

Wśród nadużyć główne miejsce zajmuje bezprawne działanie oraz w większości wypadków umyślna bezczynność policyi, stanowiąca przyczynę poważnych nieporządków.

Oto, co badane na śledztwie pierwiastkowem osoby jednomyślnie zeznały:

W ciągu ostatnich 2—3 lat Radom, przedtem zupełnie spokojny, stał się widownią steku rozmaitych złoczyńców, których część znaczna, nie mając żadnych środków utrzymania, prócz dochodów z przestępstw, była dobrze znana osobiście i z nazwiska nietylko członkom policyi, lecz i mieszkańcom miejscowym. Liczba ich dochodziła do 60 a może i więcej. Złoczyńcy skupili swoją działalność głównie w środkowym punkcie handlowym miasta, na t. zw. Wale.

Niektórzy członkowie policyi razem pili z nimi, porozumiewali się wzajemnie stosownymi znakami, witali się przy spotkaniu i t. d. Doskonale znanymi w mieście z ciągłych oszustw byli: Szerman, Szczepkin, Zielenecki i in.; ogrywali oni na ulicach włościan w naparstki, w karty, w obecności nawet strażników ziemskich, którzy następnie śmieli się z ogrywanych, a częstokroć nawet aresztowali ich pod pozorem, że łączyli się ze złoczyńcami.

Na częste krzyki i nawoływania, strażnicy na Wale zazwyczaj albo udawali, że nie słyszą, albo uciekali w przeciwną stronę, kryli się, byle nie być świadkami spełnionego przestępstwa. Zwracającym się do nich o pomoc napadniętym i okradzionym odpowiadali zwykle szorstko, brutalnie, radząc, aby sami zajęli się poszukiwaniem skradzionych rzeczy, a na czynioną nieraz uwagę osób neutralnych odpowiadali: „to ich, nie nasza rzecz, niechaj podadzą skargę do sądu“ itp. O ile solidaryzowali się z sobą członkowie policyi z Wału ze złodziejami, stwierdza szereg faktów, przedstawionych przez świadków.

Józef Kornet np. opowiada, iż pewnego razu w r. 1894 poszukiwał skradzionych mu na Wale 48 rs., zwracał się więc kolejno do kilku strażników; wówczas jeden odmówił mu, tłomacząc się brakiem czasu, drugiego znalazł zupełnie pijanego, trzeci zaczął się śmiać, mówiąc: „no, to trzymaj złodzieja,“ a czwarty wprost poradził, aby pogodził się z myślą, iż pieniądze przepadły bezpowrotnie.

Drugi wypadek: Dyżurny strażnik ziemski, znajdujący się na Wale, puścił uciekających do podwórza domu znanych dwóch złodziejów ze skradzioną burką. Kiedy świadek Majer Frejmel żądał pomocy, strażnik dopóty nie chciał nic zrobić, dopóki F. nie zaczął grozić, że wystąpi ze skargą do naczelnika żandarmeryi. Zatrzymawszy jednak złodziejów, kryjących się w podwórzu, puścił ich, zapewniając właściciela, iż burka będzie mu zwrócona.

Abraham Rosenberg, Berek Frydman i Izrael Fajfer byli świadkami, jak strażnik ziemski, goniąc trzech złodziejów kieszonkowych, którzy przed chwilą spełnili kradzież, dopędził ich w podwórzu jakiegoś domu, a następnie zamknąwszy się z nimi w ustępie, podzielił się pieniędzmi kradzionymi.

Jeżeli były wypadki, że który ze strażników aresztował podejrzanego lub złapanego na kradzieży, to indywiduum takie wkrótce uwalnia no z aresztu policyjnego; okoliczność ta podko-

pywała zaufanie i wiarę mieszkańców do policyi. Zresztą sami złoczyńcy oświadczali głośno, że nie boją się policyi, gdyż dzielą się z nią swoimi dochodami. Mówili częstokroć: „Za co wy nam wymyślacie? Jeżeli ukradniemy trzy ruble, to dwa obowiązani jesteśmy oddać policyi."

Wypadki kradzieży i innych przestępstw zwiększyły się znacznie w początkach r. 1894, kiedy na Wale został starszym strażnikiem Akim Warłamow.

Strażnik ten, będąc w jawnej przyjaźni ze złoczyńcami, nie krępował się bynajmniej w przepędzaniu czasu z nimi na pijaństwie, grze bilardowej itp. rozrywkach. Nietylko więc nie przedsiębrał osobiście żadnych kroków celem ochrony swego rewiru od napaści, lecz bezpośrednim podwładnym swym, pomocnikowi i strażnikowi dyżurnemu, dawał rozkazy nie aresztować i nie ścigać złoczyńców wówczas, kiedy ci okradają przyjezdnych; troszczył się jedynie tylko, aby nie było napaści na sklepy handlujących na Wale.

Jak wielką była solidarność Warłamowa ze złoczyńcami, dowodzi zeznanie między innymi świadka Majera Frejmela, który, grożąc złodziejom strażnikiem Warłamowem, usłyszał odpowiedź: „my go się nie boimy, przecież mu czynsz płacimy, od każdego z nas dostaje stałą pensyę, abyśmy swobodnie mogli działać, a od każdej większej kradzieży bierze obowiązkowo łapówkę." Prócz bezprawia w kwestyach kradzieży, cała służbowa działalność Warłamowa od chwili mianowania go starszym strażnikiem do czasu usunięcia od zajmowanych obowiązków, tj. do marca 1895, nacechowana była rozmaitemi przewinieniami.

Jako przykład, przytoczyć można fakt następujący: W r. 1894 podczas cholery, do pilnowania porządku na cmentarzu żydowskim wyznaczono Warłamowa. Otóż otrzymywał on od 10 kop. do 5 rs. od rodziny zmarłego za to, że pozwalał chować ciała bez zastosowania wszelkich przepisów sanitarnych.

Stojący wyżej nieco w hierarchii służby policyjnej, Mikołaj Jakowlew (w czasie ukończonego już śledztwa pierwiastkowego zmarł w Radomiu), był faktycznym naczelnikiem komendy policyjnej; skutkiem nieograniczonego zaufania i sympatyi, jaką darzył go policmajster, Jakowlewowi ulegali wszyscy prawie członkowie organu policyjnego. On to z ogólnej liczby 46 strażników posyłał zwykle na Wał do pomocy starszemu tylko dwóch, pomimo iż liczba ta była nazbyt mała wobec ciągłych kradzieży. Wyznaczał przytem strażników młodych, niedoświadczonych, jakby umyślnie w celu nietamowania swobody złoczyńcom. Baczył jednak, aby jedni nie wtrącali się do czynności drugich.

Jakowlew był w przyjacielskich stosunkach tylko z jednym Warłamowem.

Szerman i Szczepkin, złodzieje zawodowi, ściągani na śledztwo do policyi, zwykle udawali się z nim do oddzielnego pokoju i tam prowadzili poufne rozmowy. Kiedy zaś który z wymienionych złoczyńców był schwytany, natenczas drugi, na wolności, wstawiał się do Jakowlewa; wstawiennictwo takie praktykowało się i za innymi współtowarzyszami-złodziejami. Wypadki uwalniania aresztowanych były bardzo częste.

D. 13 stycznia 1895 r. strażnik ziemski, Petrów, zatrzymał w nocy na ulicy wóz, naładowany towarem, podejrzewając, że jest skradziony; kiedy podejrzenie to wzmocniło się wskutek proponowanej mu przez woźnicę łapówki, Petrow zamierzał odprowadzić go do policyi; wówczas zjawił się Jakowlew, zaczął krzyczeć na Petrowa, zwymyślał go i kazał puścić woźnicę.

Policmajster m. Radomia, rotmistrz Kiryczenko pozostawał na służbie od r. 1890. Jako główny zwierzchnik komendy policyjnej, nie mógł nie wiedzieć o nieporządkach miejskich, a na zapobieżenie temu nie przedsiębrał żadnych środków, troszcząc się więcej o zewnętrzne urządzenie miasta, resztę zaś spraw powierzał starszemu strażnikowi, Jakowlewowi.

Skargi mieszkańców pozostawały przeważnie bez skutku, a z interesantami w podobnych lub innych sprawach obchodził się zwykle po grubiańsku, krzyczał na nich, a niekiedy wyrzucał z kancelaryi, odmawiając wysłuchania objaśnień. Wymyślając wnoszącym skargi, nie cofał się przed biciem i aresztowaniem bez żadnego powodu.

Oto przykłady: w r. 1894 odmówił przyjęcia wyjaśnień ustnych niejakiego Mordki Friedmana w sprawie kradzieży z jego sklepu bławatnego. Kiedy Fr. oskarżał jawnie jednego ze strażników o ukrywanie za pieniądze znanych dobrze przestępców, wskazując dwu naocznych świadków tego nadużycia, Kir. groził mu aresztem, krzycząc: „ja ci pokażę, jak szpiegować policyę!"

Kiedy w grudniu r. 1894 handlujący Dawid Grünman, pobity na Wale przez złoczyńców za to, że bronił kobiety napadniętej, skarżył się policmajstrowi, oznajmiając, że w Radomiu znajduje się więcej, niż stu złodziejów, bezkarnie kradnących, wówczas Kir., odmówiwszy pomocy skarżącemu, krzyknął: „jeżeli będziesz powtarzał podobne rzeczy, to dostaniesz sto batów."

W marcu 1895 r. policmajsser wezwał do siebie na indagacyę 10 mieszkańców z liczby 48, którzy podali wspomnianą wyżej skargę do prokuratora sądu.

Wybadawszy oskarżycieli, Kiryczenko nazwał ich „świniami" i pomimo że wezwani stwierdzili zupełną zasadność skargi wobec swej bezbronności i braku bezpieczeństwa ze strony policyi, Kiryczenko kazał swemu sekretarzowi na odezwie zaznaczyć w odpowiedzi do gubernatora, jakoby badane osoby zrzekły się swego oskarżenia, na tej zasadzie, iż żaden z nich nie mógł wskazać autora skargi.

W styczniu 1895 r., zamieszkały w sąsiedniej z Radomiem wsi Firlej, Icek Szpajzman, podejrzewając o kradzież jakiegoś włościanina, kazał go aresztować. Wysłuchawszy zażaleń Szpajzmana, policmajster, chwyciwszy go za włosy, zaczął krzyczeć: „ja cię nauczę, będziesz ty do mnie złodziejów przyprowadzał, ty...", następnie zbił go kijem i osadził w areszcie, a nazajutrz wysłał etapem do miejsca stałego zamieszkania, pod pozorem, jakoby Szpajzman nie miał przy sobie dowodów. Tymczasem świadkowie stwierdzili, iż Szpajzman okazał pasport zaraz podczas aresztowania, przytem osobistość to dobrze znana kupcom radomskim i ciesząca się dobrą opinią.

W podobny sposób K. postąpił z żydem Abrahamem Godfriedem, na skutek fałszywego doniesienia przez szynkarza Blatta, jakoby tamten rozpuszczał po mieście potwarcze wieści o Kiryczence. Wezwawszy Godfrieda do kancelaryi, schwycił go za włosy, bił po twarzy, rzucił na podłogę, skopał nogami, a następnie kazał aresztować.

Przytoczone wyżej przykłady bezprawnego krępowania swobody wielu osobom przez Kiryczenkę nie należą do wyjątków; według zeznań na śledztwie pierwiastkowem świadków: Romana Malczewskiego, strażnika ziemskiego Lechowskiego, Mordki Zelcera, Szlomy Lipsztajna, Lai Friedland, Zandela Norembérskiego, Prokofja Wisznickiego i innych, podobne wypadki samowolnego aresztowania zdarzały się bardzo często.

(D. n.).



KRONIKA.

Wiadomości społeczne. Opracowano ustawę Towarzystwa kolonij letnich w Warszawie. Dotychczas urządzane one były za oddzielnem na każdy rok pozwoleniem władzy.

— Na zasadzie istniejących dotychczas przepisów wszystkie kobiety, korzystające z usług instytutu położniczego w Warszawie, obowiązane były wnosić po 7 rs. 50 kop., lub też w razie niezamożności, odsługiwać pewien czas przy dzieciach domu wychowawczego, jako mamki. Obecnie rada miejska dobroczynności publicznej postanowiła wszystkie kobiety, które opłaciły podatek szpitalny, zwolnić od wszelkich zobowiązań względem instytutu położniczego.

Szkoły. Z łona stałej komisyi do spraw wykształcenia fachowego wyszła podkomisya, która zajmie się opracowaniem nowego typu szkoły zawodowej dla uczniów kończących elementarną. Kandydaci mają być przyjmowani w wieku lat 11—12.

— Rodzice i opiekunowie uczniów tutejszej szkoły realnej otrzymali następujące zawiadomienie zwierzchności: „Z rozporządzenia, opartego na przepisach, zatwierdzonych przez p. ministra oświaty, forma mundurowa ubrania dla uczniów szkoły realnej jest obowiązująca nietylko w okresie szkolnym, lecz i podczas wakacyj, wogóle zawsze i wszędzie. Za jakiekolwiek naruszenie tej formy uczeń bez żadnych wyjaśnień będzie wydalony. Również surowo zabrania się uczniom jazdy konnej, na welocypedach, bicyklach, rowerach itp., oraz na łódkach."

— Dzienniki petersburskie donoszą, iż w r. b. nie będą przyjmowani kandydaci na drugi kurs instytutu górniczego.

Gospodarka miejska. *Kuryer warsz.* otrzymał od jednego z członków komitetu budowy kanalizacyjnej następujące wyjaśnienie: Mylną jest wiadomość, „że p. Lindley, mając na względzie zabezpieczenie miasta od braku wody, projektował w liczbie innych robót seryi IV ułożenie drugiej rury 30-calowej od stacyi pomp do stacyi filtrów i że komisya petersburska, wydelegowana przez ministeryum spraw wewnętrznych do rozpoznania seryi IV, robotę ową wykreśliła. Otóż tak nie jest. Ułożenie rury zapasowej zupełnie było pominięte przez p. Lindleya w powyższym projekcie i wskutek tego nie mogło być przedmiotem obrad komisyi. Świadczą o tem: sporządzone urzędowe protokóły posiedzeń komisyi, oraz raport głównego inżeniera, W. H. Lindleya, służący za podstawę do określenia robót seryi IV. Nie ulega żadnej wątpliwości, że gdyby p. Lindley żądał ułożenia owej rury, wtedy ani komisya, ani komitet, ze względu na poważną odpowiedzialność, nie odważyłby się odmówić zatwierdzenia tej roboty." Całą więc przyczyną złego jest niedbalstwo głównego inżeniera, lekceważenie najważniejszych potrzeb miasta

— Komitet ministrów w tych dniach rozstrzygnął pomyślnie sprawę pożyczki obligacyjnej 6,600,000 rubli na przedłużenie robót kanalizacyjnych i wodociągowych w Warszawie. Od r. 1884 urządzenia owe pochłonęły już 11,184,634 rs. Część tej sumy (1,524,634) wzięto z kapitału zapasowego, a 9,660,000 pokryto pożyczką obligacyjną na sumę 10,580,000 rubli.

Koleje i komunikacye. Od d. 13-go maja r. b. na kolejach skarbowych wprowadzona będzie nowa taryfa podmiejska od następujących stacyj: Baku, Batum, Briańsk, Białystok, Charków, Gatczyno, Grodno, Jekaterynburg, Jekaterynosław, Jelec, Jelizawetgrad, Jurjew, Kaługa, Kiszyniów, Kijów, Klimówka, Krzemieńczuk, Kursk, Kutais, Libawa Mińsk, Mitawa, Moskwa, Niższy Nowogród, Odesa Oranjenbaum, Orzeł, Penza. Petersburg, Peterhof, Połtawa, Poti. Psków, Rewel, Ryga, Rostow, Samara, Sewastopol, Symferopol, Smoleńsk, Twer, Tyflis, Tuła, Warszawa, Wilno i Witebsk. Na zasadzie tej nowej taryfy będą ustanowione z wymienionych miejscowości do najbliższych stacyj: 1) bilety jednorazowe ze zniżką 20% we wszystkich pociągach, oprócz kuryerskich i pośpiesznych, a na kolei Mikołajewskiej także pocztowych; 2) bilety powrotne, sprzedawane zarówno na stacyach głównych jak i podmiejskich po cenie, stanowiącej dla krótkich dystansów wartość jednorazowego biletu, a na większych ze zniżką 10—15%; 3) karty abonamentowe na 15 przejazdów. Oprócz tego w większych miastach: Petersburg, Moskwa, Twer, Charków, Ryga i Warszawa będą zachowane bilety roczne, sezonowe i miesięczne, wydawane z warunkiem dołączenia fotografii, ze zniżką 75%. Dla uczącej się młodzieży wszystkich zakładów naukowych, męskich i żeńskich, rządowych i prywatnych, wyższych, średnich i niższych bilety powyższe sprzedawane będą ze zniżką 50%. Oprócz tego w miastach: Petersburg, Moskwa, Ryga, Libawa, Rewel i Warszawa, wolno będzie najmować po cenie ulgowej pociągi nadzwyczajne, przeznaczone do wycieczek w większem towarzystwie

Dobroczynność. Zmarły Michał Zieleniewski, oprócz dwóch legatów głównych po 100,000 złr. na tandycyę wychowawczą dla potomków rodziny swojej, oraz na koszty dostarczania wody z wodociągów dla szkół ludowych, szpitalów i ochron — przeznaczył dla Akademii umiejętności kwotę 10,000 złr. na nagrody za prace naukowe z dziedziny balneologii i po 500 złr. dla trzech zakładów dobroczynnych miejscowych.

Sądy. Do Kalisza zjeżdża z Warszawy sąd wojenny, celem osądzenia żołnierzy straży pogranicznej, oskarżonych o rozbój w prowincyi poznańskiej.

Zdrowie publiczne. Sekcya rzemieślnicza zbiera dane co do „chorób zawodowych.“ Przy pomocy lekarzów i majstrów zbadano już dwadzieścia kilka warsztatów w Warszawie.

Wystawy i zjazdy. W Warszawie przy Muzeum rzemieślniczem w jesieni r. b. będzie urządzona wystawa introligatorska. Program obejmuje następujące działy: 1) Statystyka kunsztu introligatorskiego krajowego (liczba zakładów, robotników, produkcya); 2) literatura (podręczniki, czasopisma, wzory i podobizny krajowe i zagraniczne); 3) zbiór historyczny dawnych opraw; 4) maszyny i narzędzia; 5) próby doskonałych materyałów krajowych i zagranicznych; 6) wzorowe okazy wyrobów introligatorskich krajowych; 7) oprawy wzorowe ze zbiorów prywatnych; 8) nadesłane z za granicy wyroby wzorowe wszystkich działów introligatorskich; 9) konkursy specyalne (za oprawę książki szkolnej, bibliotecznej, nabożnej itd.); 10) introligatorstwo galanteryjne; 11) księgi handlowe i artykuły biurowe.

— Podczas wystawy „Millenium“ w Peszcie urządzony będzie międzynarodowy zjazd stenografów pomiędzy d. 25—28-ym lipca r. b., celem wytworzenia ogólnego związku międzynarodowego stowarzyszeń systemu Gabelsbergera. Udział jednak w obradach brać mogą i stenografowie innych systemów.

Odpowiedzi Redakcyi

Pani L. E. w Poznaniu. Ani o zapowiedzianej przez Panią zmianie dziennikarskiej nic nie wiemy, ani w powodzenie takiego wydawnictwa nie wierzymy, ani żadnem pośrednictwem usłużyć nie możemy.

Prenumeratorce. Na pytania Pani możemy odpowiedzieć tylko listownie.

OGŁOSZENIA.

Redaktor i wydawca dr. fil. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою. Варшава 19 Апрѣля 1896 г.

Druk K. Kowalewskiego. Warszawa ul. Mazowiecka, Nr. 8